№ 2. Warszawa, dnia 12 Stycznia (31 Grudnia) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Farsa w tragedyi.—Tydzień polityczny. — Nieśmiertelne dusze. III. Regina dramat w trzech aktach przez W. Okońskiego.—*Życie społeczne*: Sprawa kobieca. 1. Rozwój osobniczy a macierzyństwo p. Lud. Krz. — Grzmijcie fanfary p. Bezstronnego. — Listy krakowskie p. Mora. — *Literatura i sztuka*: Z Zachodu p. Cezarego Jelentę. — Z Niemiec p. Ladawę. — Teatr p. A. G. B. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — O prawdę p. Ad. Mahrburga. — Prasa ruska. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

FARSA W TRAGEDYI.

Niewątpliwie obecny stan polityczny Europy przedstawia wszystkie cechy dramatu lub tragedyi, a co najmniej prologu do jakiejś wielkiej i bardzo poważnej akcyi. Prawie wszystkie państwa w zbroi, przygotowane do natychmiastowego rozpoczęcia walki, niektóre z nich zgromadziły olbrzymi zasób sił i środków, stosunki między zapaśnikami wytężyły się do ostatecznego napięcia, zaniepokojone nimi narody żyją w trwodze i bądź z musu, bądź z dobrej woli dobywają resztki swych oszczędności na ofiarę napadu lub obrony. Nikt nie wierzy, ażeby z wielu pasem złożony i splątany węzeł sprzecznych interesów i wzajemnych niechęci dał się rozwikłać pracowitym trudem pokoju i każdy przyznaje, że miecz jest w tej sprawie nieunikniony. Od ministrów i wodzów aż do najzwyklejszych obserwatorów rozpościera się przekonanie, że jeśli wojna wybuchnie, będzie straszną, nieznaną dotąd w historyi, przechodzącą najśmielsze przypuszczenia wyobraźni. Te znamiona doby obecnej wystarczają zupełnie na to, ażeby ją nazwać wysoce dramatyczną. Ale, rzecz dziwna, w prologu, poprzedzającym widowisko majestatyczne i groźne, odgrywają się ciągle sceny, tak nielicujące z poważnym nastrojem, że ich widzowie, którzy drżeć mają po podniesieniu zasłony, wybuchają co chwila serdecznym śmiechem. Na tle tragedyi rysuje się farsa, na tle grozy — wesołość, na tle wielkości — małość, na tle powagi — błazeństwo. Zdawałoby się, że tu idą równolegle obok siebie dwa szeregi zjawisk, wytwarzanych przez odrębne czynniki. Tymczasem nie: ci sami ludzie i te same narody, które mają objąć naczelne role w tragedyi, występują teraz w farsie, a ci sami politycy, którzy patrząc w teleskopy, przepowiadają nadciągającą burzę, zanoszą się przytem od śmiechu.

Rzućmy spojrzenie gdziekolwiek. Francya po pogromie wojennym stanęła wobec ciężkich zadań pomsty i odzyskania strat. Wysila się na uzbrojenia, myśli o odwecie i — zajmuje się komedyą bulanżyzmu. Ta „niewiasta w żałobie" zmienia sobie co parę miesięcy ministrów, jak awanturnica kochanków, przyczem topi uwagę w morzu skandalów, plotek, pojedynków, drobiazgów wszelakiego gatunku. Nikt by się nie domyślił, że musi wydawać miliardy na armię i zamierza niedługo wyzwać do walki tytana, który ją pokonał.

A ów tytan! Ma on również stoczyć śmiertelną walkę. Opancerzył się strasznie, na nieprzyjaciół będzie rzucał góry i oderwane kawały lądów, najeżył się lasem bagnetów, trzyma w dłoni miliony piorunów i — wyprawia burdy na mogile zmarłego monarchy, prześladuje mniemanych winowajców, więzi urojonych zdrajców kraju, słowem — procesuje się z Morrierem i Geffckenem. Dwie te sprawy są podobno najwymowniejszemi znamionami farsy w tragedyi chwili bieżącej. Ponieważ Bismark w swym raporcie do cesarza wyraził się, że następca tronu (późniejszy Fryderyk III) musiał być zdala trzymany od tajemnic politycznych „z obawy niedyskrecyi przed dworem angielskim" i ponieważ naród przyjął tę wyrządzoną nieboszczykowi zniewagę bądź z niechęcią, bądź z oburzeniem, więc należało sfabrykować „dowody." Naprzód poszedł do kozy Geffcken, nietylko za to, że ogłosił pamiętniki zmarłego monarchy, ale i dlatego, ażeby wytoczone przeciw niemu śledztwo zebrało jak najwięcej śladów owej „niedyskrecyi." Następnie obarczono zarzutem Morriera, posła angielskiego w Petersburgu, dawniej przebywającego w Darmsztadzie i cieszącego się sympatyą niemieckiego następcy tronu, że doniósł Bazaine'owi o ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Charakterystycznym jest jednaki mianownik w obu tych wypadkach: Morrier wypiera się zdrady i Geffcken, wspólnicy zaś ich, którzyby mogli wątpliwość rozstrzygnąć — Bazaine i Fryderyk III umarli. O „niedyskrecyi" Morriera szeptano dawniej, ale nie ujawniono jej, bo — żył Bazaine, żył wreszcie Fryderyk III. Dopiero teraz, kiedy milczenie nieboszczyków swobodnie wyzyskiwać można, wzięto się usilnie do roboty. Ostatecznie nawet sądy pruskie — dziś inaczej sławne — uwolniły Geffckena, a prasa gadzinowa posłowi angielskiemu niczego nie dowiodła.

Nie wchodzimy w istotę tych spraw, nie badamy zasadności oskarżeń i obron, bo one nas nie obchodzą. Ale podsunęliśmy te fakty uwadze czytelników, jako wydatne sceny owej wielkiej farsy, która się splata z tragiczną powagą epoki obecnej. Jest to coś dziwnego i niewytłomaczonego. Gdyby przyszły historyk odmalował chwilę teraźniejszą i zapytał, czem w niej zajmowali się przygotowani do starcia tytani, potomność nie odgadłaby, że—Boulangerem, Geffckenem, Morrierem i całym szeregiem spraw, należących do politycznych sądów pokoju. Jeżeli wszakże badacz współczesny chce koniecznie odgadnąć przyczyny tej nieświadomej i mimowolnej humorystyki, według nas odnaleźć je może tylko w zgrzybiałości umysłu człowieka, który długo przewodził Europie i dotąd tłoczy ją swoją powagą — ks. Bismarka. Oddawna już wskazujemy znaki jego zestarzenia się, które zachowało nałogi rozkazodawcze, ale już nie posiada siły, zniewalającej do posłuszeństwa. Kanclerz niemiecki już nie może zdobywać się na wielkie plany i na wielkie boje; umie tylko zrzędzić, swarzyć się, procesować i rozdymać pyłki do znaczeń

brył olbrzymich. Wygląda jak wielki wódz, który zagląda do kotłów z jedzeniem, poszturguje kapralów i kłóci się z generałami. Dlatego to groza obecnego położenia, którą wytworzył za lat swej mocy umysłowej, spotkała się z koniecznością drobiazgów, którą rodzi jego starość.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Żadne państwo monarchiczne nie przedstawia nigdy takich szczególnych widoków, jak Niemcy, rządzone przez ks. Bismarka i prasę gadzinową. Kanclerz poleca jednemu ze swych najmitów kogoś napaść. O tym zamiarze często nie wie ani cesarz, ani jego rodzina. Kiedy walka zawrze, rodzina ta przyjmuje w niej pośredni lub bezpośredni udział, staje po jednej lub drugiej stronie, księżniczki, książęta, matki, babki panującego przesyłają do gazet sprostowania i wyjaśnienia, słowem, awantura na dole odbija się rozterką u góry. Ale częściej jeszcze występuje inna grupa widoków. Ogromna ilość pism niemieckich pozostaje względem urzędowego biura prasowego w takim stosunku, w jakim np. wodociągi warszawskie względem wieży ciśnień na Koszykach. Wszyscy o tem wiedzą, ale zainterpelowany w sejmie co do tego stosunku kanclerz lub minister wyślizną się jak piskorze z rąk, nie potwierdzą i nie zaprzeczą. Tym sposobem Bismark może z wielu dzienników wyrzucać bomby pochodzenia urzędowego i nie być za nie odpowiedzialnym. *Kölnische Ztng*, jedna z głównych rur biura prasowego, oskarża Morriera o zdradę tajemnic wojskowych przed Bazainem. Rodzaj zarzutu, dalsze uzasadnienie go, przytoczone dowody wszystko świadczy o tem, że w arkuszach papieru „kolonki" nie był obwinięty kamień redakcyjny, lecz pięść kanclerska. Więc obwiniony żąda od H. Bismarka zaprzeczenia potwarzy. Na to mu odpowiadają, że jego „żądanie nad wyraz dziwne," bo jakże minister może być czyimś adwokatem i odpierać oskarżenie prywatne? Weźmy całą masę podobnych obrotów i pomyślmy, ile niemoralności tkwi w prasie gadzinowej. Nigdy i nigdzie organy opinii publicznej nie zeszły do tak nizkiego poziomu.

Król Milan zamknął skupczynę mową obszerną, w której wyłożył krótko główne zwroty losów Serbii, a szerzej — ostatnie stopnie rozwoju konstytucyjnego. Obecnie komisya bada artykuły nowego statutu, który — zdaje się — będzie przyjętym bez żadnych lub bez znacznych zmian. Kury radykalne i liberalne, otrzymawszy grzędę, chciały usiąść jeszcze wyżej, ale król, w którym zagrała krew samowładcza, odpowiedział przybyłej do niego delegacyi: „Ustępstwa moje doszły już do ostatecznej granicy. Konstytucya musi być przyjęta całkowicie i bez zmiany, albo też odrzucona. W pierwszym wypadku będę sądził, że skupczyna dokonała dzieła patryotycznego i złożyła dowody zamiłowania pokoju. W drugim mieć będę przekonanie, że ją ożywia duch rewolucyjny. Wówczas ujmę rządy kraju w swoje ręce. Cały świat dziś potwierdzi, że usiłowałem zaprowadzić konstytucyę liberalną; na was więc spadnie zarzut udaremnienia moich zamiarów. Nie mogę pozwolić żadnemu z was, aby pracę przeznaczoną dla pomyślności całego narodu, zamieniał w narzędzie tyranii demagogicznej. Jeszcze raz ostrzegam was, że, jeżeli konstytucya nie przejdzie taka, jaka jest, rozwiążę skupczynę i rządzić będę według mej woli. Wtedy nie będziecie mieli konstytucyi ani starej, ani nowej, ani gabinetu, bo sam zostanę panem i pierwszym swoim ministrem."

Energicznie! Milan zna swych poddanych i wie, jak do nich przemawiać. Z pewnością i tym razem nie chybi celu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SPRAWA KOBIECA.

1. Rozwój osobniczy a macierzyństwo.

Zdarzyło mi się być w pewnem mieście niemieckiem na uroczystości dorocznej, urządzonej przez miejscowe „koło kobiece." Między innemi, jakaś znakomitość ruchu emancypacyjnego wygłosiła nader wzniosły odczyt, w którym dowiodła, że społeczeństwo, krom ciemiężenia kobiety, nie posiada innych celów, a długie wywody zakończyła uwagą, iż po zniesieniu dawnych postaci jarzma i zależności wypadałoby unicestwić „ostatnią" już niewolę — kobiecą. Nad wartością, a raczej nicością tych ogólników zbyteczna się zastanawiać, jakkolwiek w całej rozciągłości przyznajemy fakt, spoczywający w osnowie odczytu, mianowicie, iż w życiu społecznem niema chyba ani jednej instytucyi, którąby nie świadczyła wymownie o upośledzeniu i upodleniu stanowiska kobiety. Wolno jej żyć jedynie dla mężczyzny i przez mężczyznę. Nawet w tym razie, kiedy nie jest przeznaczona z góry na pewien rodzaj potrawy dla niego, cenią w niej nie człowieka, lecz maszynę reprodukcyjną społeczeństwa. Znajdowałem się w Niemczech właśnie podczas narodzin ruchu neomalthuzyańskiego. Każdy niemal dzień przynosił jakąś broszurę mniejszych lub większych rozmiarów, tego lub innego obozu. Przeciw kiełkującemu prądowi, który należałoby rozpatrywać przedewszystkiem z fizyologiczno-hygienicznego punktu widzenia, wymierzano najrozmaitsze pociski. Jakiś filister, ozdobiony tytułem doktora filozofii, dowodził, że cały ruch jest nawskróś niemoralnym i antyspołecznym, gdyż występuje przeciw najpierwszemu obowiązkowi kobiety — płodzeniu licznych potomków, którzy zdołaliby w „potrzebie" podtrzymać chwałę ojczyzny niemieckiej... Tego rodzaju głosów można było naliczyć mnóstwo. Wszystkie one widziały w kobiecie nie żywego i konkretnego człowieka, posiadającego własne pragnienia, lecz wyznaczały jej jakieś inne, pozaosobiste zadania: już dostarczycielki przyjemności dla mężczyzny, już jego służebnicy i kucharki, lub wreszcie maszyny do wytwarzania dzielnego mięsa rekruckiego itd. Poświęcano ją nieodwołalnie bądź Molochowi, zwanemu „Grosses Vaterland," bądź kuchennodomowej niewoli, ozłacanej sielankową nazwą „pielęgnowania ogniska domowego." Otóż istota tegoczesnej kwestyi kobiecej polega na dążności ku przesunięciu środka ciężkości życia kobiety ze spraw pozaosobistych, z rzeczy i stosunków odrębnych od jej indywidualności, na własną jej osobę. W rzeczywistości jest to więc walka o wolność indywidualną, o możliwie wielką obfitość i różnorodność wrażeń życiowych, o swobodę w rozporządzaniu własnemi uczuciami i osobą, o posiadanie samodzielne-

---

2)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

III.

REGINA

dramat w trzech aktach

przez

W. Okońskiego.

SCENA III.

Ciż i André.

André.

Dzień dobry, ojcze.

Makary.

Właśnie idę dowiedzieć się, czy dla mnie dobry.

André.

Dokądże?

Makary.

Do portu. Spodziewam się dziś... sieroty, krewniaczki mojej, która ma przyjechać na statku francuskim.

André.

Rzeczywiście płynie okręt, ale jest jeszcze tak oddalony, że możemy załatwić sprawę, dla której proszę o chwilkę swobodnej rozmowy.

Makary.

Służę... Dżaku, stań na tarasie i pilnuj. Jak tylko statek przybije do brzegu, donieś mi.

Dżak.

Słucham (*odchodzi*).

Makary.

Więc traktat podpisany?

André.

I nadspodziewanie dla nas korzystny. Po klęskach, jakie ponieśliśmy w nieszczęśliwej wyprawie do wnętrza kraju, nie sądziliśmy, że królowa zgodzi się na tak dogodne dla nas warunki. Nietylko płaci koszta wojny, ale zapewnia rozliczne rękojmie, które, wyzyskane należycie, niedługo pozwolą nam faktycznie zawładnąć całym Madagaskarem.

Makary.

Nie znam się na tem.

André.

Wątpliwą jest tylko długość czasu. Ale musimy przygotować sobie trwalszą oporę. W tej zaś pracy bardzo skuteczną pomoc okazać nam możecie wy, ojcze Makary.

Makary.

Ja? W zdobyciu Madagaskaru?

André.

Tak. Z waszego posiewu zebraliśmy już nawet plon bardzo bogaty. Gdziekolwiek przedostały się promienie waszego apostolstwa, tam sięga nasz wpływ. Założone przez was szkoły, domy modlitwy i stacye misyjne dokonały więcej zwycięztw, niż nasze armaty i karabiny.

Makary.

To zasługa przeze mnie wcale niezamierzona.

André.

Nie mniej jednak dla nas cenna. Ale działalność wasza, szanowny ojcze, ograniczała się do brzegów wyspy i nie przeniknęła w jej głąb, o czem powinniśmy byli wiedzieć a przekonaliśmy się w omyłkach i porażkach obecnej wojny. Dopóki zaś Madagaskar będzie nieoswojonym lampartem w naszej klatce, przez inne państwa europejskie ciągle łamanej lub otwieranej, dopóty swoim nazwać go nie możemy.

Makary.

Jakże ja go mam oswoić?

André.

Rezydent Francyi w Antananarivo donosząc dziś o zawarciu pokoju z królową, między innemi zleceniami zobowiązał mnie do porozumienia się z czcigodnym ojcem w sprawie przesunięcia punktu ciężkości działań misyjnych w środek kraju. Jak rzekłem — ludność wybrzeży nam sprzyja, teraz trzeba opanować jądro wyspy.

go dorobku ekonomicznego, któryby ją uniezależnił od obcej woli. Naturalnie, w tem określeniu nie chodzi nam o drobiazgową ścisłość, ale o dostateczne przedstawienie naszego stanowiska.

Lecz czyż zaprawdę istnieje jakaś szczególna i odrębna „kwestya kobieca"? Przynajmniej takie pytanie zostało postawionem przez wielu pisarzy, których sąd cenię bardzo wysoko. Co więcej, rozwiązano je nawet w sposób przeczący i pojęto przytem samą sprawę, jako wytwór nieporozumienia i nieuctwa. Ma ona być w gruncie rzeczy jedynie czemś pochodnem, związanem z dotychczasowemi metodami produkcyi, z których rozkładem i sama ustanie. Niepodobna zaprzeczyć, że takie twierdzenie zawiera wiele prawdy. W jakichś czterech piątych częściach kwestya kobieca jest wynikiem istnienia samodzielnych gospodarstw domowych i w miarę tego, jak społeczny podział pracy ogarniać będzie tę topniejącą zresztą z dniem każdym warownię prywatno-gospodarczą, związek zaś rodzinno-pedagogiczny rozpływać się w sojuszu dwóch wolnych indywidualności i uspołecznionym systemie wychowawczym, podobnie i ona tracić będzie na mocy. Atoli, po za tem wszystkiem, istnieją jeszcze czynniki inne, natury antropologicznej, które rozpatrywanemu zagadnieniu nadają postać bardziej złożoną, niż możnaby sądzić ze społeczno-ekonomicznego punktu widzenia. Właśnie rozpatrzeniu tych wszystkich składników już społecznych, już antropologicznych, poświęcić zamierzamy szczegółowszą uwagę. Ale uprzednio zauważymy jeszcze jedno. Oto fakty, na które powoływać się będziemy, czerpiemy głównie, a nawet jedynie z życia najbardziej posuniętych krajów cywilizacyi „aryjskiej" — Stanów Zjednoczonych i Europy zachodniej. Czynimy to tylko dlatego, że tamtejsze warunki sprzyjają najbardziej jaskrawemu wyglądowi zjawisk i dobitnemu zaznaczeniu dążności.

*
* *

Za jeden z najważniejszych przyczynków naukowych do wyświetlenia kwestyi kobiecej można uważać rozdziały *Biologii* Spencera, rozbierające związek pomiędzy rozwojem indywidualnym osobnika a jego wydatkami na cele reprodukcyjne gatunku. Sama ta zależność jest natury antagonistycznej, tj. rozkwit życia indywidualnego pociąga za sobą zmniejszenie płodności, spotęgowane zaś wydawanie energii w kierunku rozpłodczym — zniżenie skali rozwoju osobniczego. Wprawdzie, jeżeli znajdująca się w organizmie do rozporządzenia ilość energii wzrasta, wtenczas zarówno działalność osobnicza, jak i gatunkowa mogą zwiększać się w swem napięciu (jak to mianowicie zdarza się przy przyjmowaniu obfitszego pokarmu), lecz sam antagonizm pomiędzy wskazanemi czynnościami nie zostaje bynajmniej przez to zniesionym. To samo dotyczy samca i samicy; postać wszakże rzeczy inny przybiera obrót, kiedy rozpatrywać będziemy samo ułożenie wzajemnego stosunku pomiędzy wydatkowaniem energii na cele własne osobnika a rozpłodcze. Tak — że zatrzymamy się w obrębie rodu ludzkiego — u kobiety rozwój indywidualny ustaje daleko wcześniej, niż u mężczyzny, gdyż winna ona nagromadzić pewien zasób energii, potrzebny dla jej przyszłej działalności macierzyńskiej przed wydaniem płodu na świat. Następnie i samo noszenie dziecka w swem łonie wymaga szczególnych wydatków, nieznanych mężczyźnie. Jeżeli teraz przypuścimy, iż przeciętnie kobieta europejska 8—10 razy wydaje na świat potomstwo, otrzymamy w sumie około 6—8 lat życia, podczas których wydatkowanie na cele rozwoju osobniczego musi z konieczności być niższem, niż u mężczyzny. Okresu czasu, kiedy matka karmi dziecko, zgoła nie przyjmujemy już pod uwagę.

Słowem, kobieta pewną ilość własnych sił życiowych musi oddawać dzieciom ze stratą dla swego samorozwoju jednostkowego. Prawdę tę zrozumiano w pewnych kołach społecznych Europy i Ameryki. Niech wolno nam będzie przytoczyć ustęp z *Nowej Ameryki* Dixona, zawierający słowa pewnej amerykanki do autora: „Panie, mojem zdaniem, żona ma do spełnienia kilka świętych obowiązków, w tej liczbie przedewszystkiem obowiązek podobania się mężowi. Wszystko, co staje w poprzek temu istotnemu zadaniu życia, jest występkiem. Żona powinna być powabną, uśmiechniętą, wystrojoną; powinna upajać go swymi powabami, pociągać zaletami... Być może, zechcesz pan z tej towarzyszki życia uczynić coś innego — kochankę, wychowawczynię, zasmoloną gospodynię, niewypuszczającą miotły i ścierki z ręki? O! posiada ona prawo buntowania się przeciw temu i walczenia przeciwko wszystkiemu, co ją poniża, upokarza, rozłącza z mężem... Dzieci zabierają matce cały jej czas, niszczą jej piękność i psują figurę. Są to straszni niszczyciele. Spojrzyj no pan na te urocze dziewczęta, przechadzające się przed nami, tak świeże i powabne. Jakże one są piękne i zgrabne! Ale nie upłynie lat dziesięć — jeśli one zostaną matkami, dzieci zniszczą wszystkie te wdzięki. Na twarzy ukażą się zmarszczki, same one się podstarzeją, mężowie będą od nich uciekali. Dadzą dzieciom nietylko życie, lecz nadto oddadzą własną piękność." Jest to wyznanie, że użyję stylu Krasińskiego, „wyanielonej" samicy — kobiety, która chce żyć jedynie dla mężczyzny, cele swego życia zakłada w trzymaniu go przy sobie powabami cielesnymi i wyrzeka się wszelkich innych widoków indywidualnych. W pogoni za tymi ideałami spostrzega ona antagonizm pomiędzy rozwojem indywidualnym a gatunkowym i poświęca interesy gatunku na ołtarzu ciasnych swych pragnień. Świadczą o tem wymownie fakty, zauważone przez pomienionego pisarza. Kobieta warstw zamożnych Ameryki północnej nie chce być matką, tj. nietylko posiadać liczne potomstwo, lecz nawet piastować je w swem łonie. Powody tego stanu są bardzo filisterskie, lecz wynika to już ze społecznych warunków, wśród których żyje kobieta. Przy innych okolicznościach to samo uczyni z odmiennych pobudek, lecz zawsze w jednym celu — zwiększenia bogactwa swego życia indywidualnego. I dążenie ku rozwojowi umysłowemu może napotkać w licznem macierzyństwie znaczną przeszkodę.

Jak w powyższym przykładzie zadanie rozpłodcze wysysało wdzięki fizyczne, to samo prawdopodobnie czyni w pewnym stopniu z silami umysłowemi. Można być pewnym przeto, iż w miarę rozwoju „kwestyi kobiecej," tj. odpowiednio jak coraz liczniejsze grona żeńskie będą dobijały się o uczestnictwo w działalności społecznej i umysłowej, sama ilość dzieci będzie spadała. Zresztą, takie zniżenie skali wzrostu ludności może wypływać w przyszłości i z innych względów. Wypowiedzieliśmy już w łamach *Prawdy* pogląd, iż kiedyś wychowanie i pielęgnowanie dzieci stanie się jedną z gałęzi społecznego podziału pracy, tj. iż czynności rodzenia i wychowania zostaną umieszczone w odmiennych rękach. Jednocześnie prawdopodobnie zrozumianą

Makary.

I to ja mam czynić? Ja mam torować drogę dla waszego zaboru? Ja mam być zdrajcą wkradającym się do cudzego domu, aby uśpić czujność mieszkańców i w nocy wam rygle odsunąć? Panie André, ja nie jestem do tego zdolny i nie po to tu przybyłem.

André.

Wolno spytać po co?

Makary.

Jako agent Rzeczypospolitej, która najwznioślejsze godła cywilizacyi rozwiesza po wszystkich swoich murach, która ze zgrozą mówi ciągle o ucisku a z zapałem o swobodzie, nie powinieneś o to pytać. Ale jeśli nie rozumiesz mego posłannictwa, to je wytłomaczę: przyjechałem tu, ażeby skromnem światełkiem mojego umysłu i sumienia rozjaśniać ciemne drogi życia tym półdzikim biedakom, ażeby być ich krzewicielem wiedzy i cnoty, opiekunem i dobroczyńcą. Jam apostoł, a wy mnie chcecie zrobić ogarem zdobywczej obławy, przewodnikiem najazdu, trucizną strzały, którą wypuszczacie ze swego łuku w piersi tego ludu! Jeżeli pan, jak ja, przechowasz swoją duszę w czystości do ś[illegible]dziwego wieku, to jej przed grobem nie unurzasz w błocie.

André.

Wszystko to bardzo piękne, wielebny ojcze, ale w takim razie nie należało brać pieniędzy od rządu francuskiego.

Makary.

Myślałem, że Francya dała mi je dla celów cywilizacyjnych, dla oświecenia i uszczęśliwienia tych ludzi, z których korzysta.

André.

Niestety, na takie zbytki pozwalać ona sobie nie może. Za wielu posiada u siebie nieukształconych i nieszczęśliwych, ażeby miała swe środki poświęcać mieszkańcom Madagaskaru. Byłaby to czułostkowość dziecinna.

Makary.

Piękniejsza od tego samolubstwa, które pan przede mną obnażyłeś, a które mnie zgrozą przejmuje. Nie będę jednak zalecał panu mojego upodobania, tylko powtarzam, że wyznaczonej mi roli nie przyjmuję. Proszę oznajmić rezydentowi, że nie pracowałem i pracować nie będę dla kupieckich worków Francyi, ale dla dobra ludności tutejszej, że mi jest całkiem obojętnem, czyj tu wpływ przeważy, aby tylko przeważył uczciwy.

André.

Wobec tego, zdaje mi się, że na dalsze zasiłki od mojego rządu, ksiądz liczyć nie może.

Makary.

I nie chcę.

André.

Żegnam. (*Wychodzi*).

SCENA IV.

Makary sam, później Dżak.

Makary.

Więc ja byłem bezwiednem ostrzem świdra politycznego, sypałem ziarna dla zwabienia dzikich ptaków w sidła, szczepiłem cywilizacyę dla osłonięcia nią kotów, skradających się pod ich gniazda — o Boże, jak mogłeś nie ostrzedz mnie rozumem, przeczuciem lub snem jasnowidzącym! Regino, przybądź co prędzej i stań przy mnie jako przewodnik zniedołężniałego w cierpieniach starca! (*Po chwili*). Nic złego ją nie spotkało, Gala wie, kogo strzeże... (*Wbiega Dżak*).

Dżak.

Okręt dopłynął. Gala idzie z jakąś kobietą!

Makary.

Boże... nie powołuj mnie zaraz do siebie... niech ją jeszcze zobaczę... niech ona mi opowie... (*Chwiejnym krokiem idzie ku drzwiom, w których ukazuje się Regina a za nią Gala*).

SCENA V.

Ciż, Regina i Gala.

Regina (*rzucając się w objęcia Makarego*).

Ojcze mój!.. (*Przez chwilę milczą w uścisku*).

będzie inna prawda, mianowicie, że natura ludzka nie jest jednakowa u wszystkich dzieci, że różne ich kategorye wymagają odmiennego postępowania i, co więcej, stosownego doboru kierowników. Nie dość tego, jednym z warunków powodzenia pedagogicznego jest możliwie wielki stosunek sił nauczycielskich i kierowniczych w porównaniu do dziatwy. Ponieważ zaś niepodobna całego społeczeństwa zamieniać na pedagogów, zostaje inne wyjście: zmniejszenie liczby dzieci, aby je lepiej wypielęgnować.

Wracamy wszakże do toku rzeczy. Antagonizm pomiędzy czynnościami rozpłodczemi a celami indywidualnymi przybrał dla kobiety, jakeśmy widzieli, formy dość niekorzystne. Spencer wszakże sądzi, iż samo życie zmierza ku jego usunięciu, a raczej zmniejszeniu jego doniosłości. Wychodzi on z następujących ogólnych założeń. Spostrzega mianowicie ścisłą zależność pomiędzy interesami gatunku a samą płodnością. Gdyby, rozumuje, myszy rozpładzały się tak powolnie, jak człowiek, wymarłyby, zanim zdążyłyby wydać nowe pokolenie; nawet jeśli zwykła długość ich życia wzrosłaby do lat 15, i wtedy trudno byłoby przypuścić, aby wytrwały w walce z otoczeniem i wobec tylu niebezpieczeństw, na które bywają narażone. Przeciwnie, gdyby bawoły rozmnażały się z szybkością wymoczków, gatunek po upływie tygodnia zginąłby z głodu. Słowem, pomiędzy zdolnościami rozpłodczemi a warunkami bytu istnieje odpowiednia zawisłość. Podobnie w dotychczasowych interesach rodu ludzkiego spoczywała względnie wielka płodność. Dzięki to swemu liczebnemu wzrostowi ludzkość objęła w posiadanie cały glob ziemski, weszła na pole celowej walki z naturą, ujarzmiła mnóstwo jej żywiołów, stworzyła całą cywilizacyę tegoczesną, rozwinęła umysłowość. I kiedy dostatecznie zaludni ziemię, dojdzie do odpowiedniego stopnia panowania nad przyrodą, w należytej zgodności i równowadze postawi swą wiedzę ze zjawiskami świata zewnętrznego, wtedy i sama płodność zmniejszy swe natężenie. Filozof angielski wykazuje nawet, że sama wydajność rozpłodcza zostanie ustaloną w ten sposób, iż poziom ludności nie będzie już dalej ulegał żadnej zmianie. Zaiste, jest to obraz pociągający, ale nauka przedewszystkiem pyta się nie o to, co powabne, lecz o fakty i wyjaśnienia. Pod wpływem więc jakich czynników nastąpi owo zmniejszenie płodności naturalne? Spencer powołuje się na oddziaływanie wzrostu siły umysłowej. Mianowicie, w miarę coraz znaczniejszego wydatku energii organicznej na działalność mózgową, która wzmagać się winna, im dalej sięgniemy w przyszłość, odpowiednio zmniejszać się będzie zdolność rozpłodcza osobników, aż wreszcie doprowadzi do pożądanego stosunku. Jak widzimy, wszystko w rozumowaniu myśliciela angielskiego biegnie harmonijnie, bez start i zapasów, cierpień i bólów, jak przystało u przedstawiciela teoryi Bastiatowskiej w zastosowaniu do zjawisk kosmicznych, organicznych i społecznych. Nie zaprzeczamy, aby kiedyś nie doszło do stanu, skreślonego przez Spencera, a nawet, aby wskazane przezeń czynniki nie odegrały bardzo wielkiej roli. Mniemamy jednak, że zaważyć tu mogą i inne jeszcze względy. Wątpliwem jest, aby kobieta, chcąca się kształcić i kosztować życia społeczno-umysłowego, chciała cierpliwie oczekiwać dalekich czasów, gdy nastanie epoka owej równowagi, a tymczasem wyrzec się swych pragnień indywidualnych. Raczej, nie zrywając z macierzyństwem, chociażby dlatego, że posiadanie dzieci stanowi konieczne uzupełnienie zarówno życia indywidualnego, jak i społecznego, jednocześnie ścieśni jego rozmiary — ograniczy się ona do kilkorga dzieci, zamiast liczenia ich półtuzinami i nawet tuzinami. Lecz takie dowolne wyrzekanie się działalności rozrodczej nie może pozostać bez wpływu na organizm kobiety i nie wywoływać w nim odpowiednich zaburzeń. Będą one jednak mniejszemi u tych jednostek, które od urodzenia odznaczają się mniejszą płodnością. Wskutek tego płodniejsze mogą już wcześniej schodzić ze świata, już wydawać słabsze potomstwo itd. i tem samem powoli zanikać z pośród społeczeństwa. Będzie to swego rodzaju dobór społeczny w kierunku zmniejszonej płodności.

Naturalnie w tym rozwoju organicznym możemy wstawić śmiało mnóstwo cierpień i bólów. Sądzimy jednak, że kobieta je wybierze, aby tylko uczynić swe życie pełniejszem, obfitszem w wrażenia i niezależniejszem. Przytem nie mniemamy, iżby dosięgała tego celu drogą jakiejś wstrzemięźliwości fizycznej. Cokolwiekbądź zresztą nastąpi, czy nastanie kiedyś owa równowaga, wyprowadzana przez Spencera, czy nie, rozwój stosunków społecznych obecnej chwili jest tego rodzaju, iż wyłania on u kobiety pragnienia indywidualne na coraz potężniejszą skalę i nawet sam zmusza ją do posiadania ich. Jak to wykażemy w ciągu dalszym, tegoczesna kwestya kobieca bynajmniej nie jest wytworem tej okoliczności, iż ukazała się jakaś książka Milla lub kogoś innego, lecz dziełem samego ukształtowania nowożytnych stosunków ekonomicznych. Kobieta będzie i musi walczyć o swoją indywidualność — z uszczerbkiem dla własnego zdrowia, zdrowia swego potomstwa itd. Zamiast niepotrzebnych kazań i jeremiad z tego powodu, najodpowiedniejszem byłoby wyszukanie przez naukę środków ku zmniejszeniu i usunięciu możliwych cierpień i walk. Jeżeli bowiem pewne przejścia są niezbędnemi, człowiek tylko z pożytkiem może uczynić jedno — złagodzić ostrość samego przebiegu.

Lud. Krz.

GRZMIJCIE FANFARY!

Co się stało, zapytacie, dlaczego uroczyste trąby rozbrzmiewać mają, jakiż fakt głosić zdumionemu światu? Czyż nie słyszeliście o sławnej warszawiance, co nietylko pięknością, lecz wytrwałą pracą i znakomitą inteligencyą zyskała sobie tytuł „doktora medycyny uniwersytetu paryskiego.“ Cóż to za geniusz — ta młoda dziewczyna, która nieznana jeszcze przed kilku tygodniami dzisiaj tyle daje materyału do korespondencyj, artykułów, ba, nawet ilustracyj. Niezadługo, a państwa zawrzą o narodowość tej znakomitości. Francya, Niemcy i nasza prasa wydzierać ją sobie będą; pierwsza dała jej wykształcenie i za to uzyskała w rozprawie doktorskiej kompliment: *ma seconde partie*; Niemcy przyczepią się do nazwiska, że panna Szulc tytułuje się panną *Schultze*, nasza prasa, ta skromna, też może upomni się przez usta swych dziennikarzy, gdyż tu stała kolebka tak słynnej osoby i tutaj uczono ją sylabizować, czytać pisać, rachować. Zdumieni nagłą sławą, a ożywieni chęcią przyjęcia udziału w tej radości z tryumfu rodaczki, postanowiliśmy zbadać rzecz na gruncie i spro-

---

Makary.

Dobrze zrobiłaś, dobrze, żeś przyjechała, może nam lżej będzie dźwigać razem ciężar boleści. Patrzę ci w oczy i szukam w nich odbicia jego obrazu — nie ma!

Regina.

Ale w twojej twarzy, ojcze, go widzę. Jakże wy do siebie podobni.

Makary.

Czemuż Bóg się nie omylił i mnie za niego nie wziął. Każdem westchnieniem żebrzę śmierci — odmawia. Jeszcze się nie pomścił.

Regina.

Nie, ojcze drogi, nie rzucaj obwinień w niebo, bo one zawsze spadają na ziemię.

Makary.

Mądrzejsza jesteś ode mnie, rozum mi się zestarzał, oślepł, ani dojść do odległych przyczyn złego, ani ich dojrzeć już nie może. Wszystko jedno — tak czy inaczej — dzieci nie mam. Cecylia przynajmniej istnieje w grobie, ale o Aurelim już nawet natura zapamniała.

Regina.

Jego dusza nieśmiertelna.

Makary.

Ty wierzysz w nieśmiertelność dusz?

Regina.

Tak.

Makary.

Dobrze moje dziecię — to lżej. (*Do Gali*). Przepraszam cię dzielny chłopcze, zapomniałem o tobie (*podaje mu rękę, którą Gala całuje*). Ale ty wiesz, co mi pamięć rozprzęga.

Regina (*do Gali*).

Ach i ja panu jeszcze nie podziękowałam za tyle starań, prawdziwie braterskich.

Gala.

Nie przepłacaj pani wspaniałomyślnie moich skromnych usług. Wystarczy mi to, że jesteś zadowoloną.

Makary.

Jest kupcem i moim gorliwym pomocnikiem. Jechał po mosiądz do Natalu i przyrzekł mi, że cię tam spotka i przywiezie. Skutkiem wojny podróż niepewna, same kobiety rzadko tu jadą. (*Podczas tych słów Gala dał znak Dżakowi i wyszedł z nim na taras*). Zresztą tak mnie dręczy przesąd, że wszystkich, których kocham, los prześladuje... Zła to i dla ciebie wróżba, mój przyjacielu (*ogląda się*). Już usunął się — zawsze taki delikatny. Jest to charakter stalowy, ciągle jednak topniejący w żarze najszlachetniejszych uczuć. Bez niego tylko bym tu marzył a niczego nie dokonał. Chociaż teraz, to już i chcieć nie umiem. Wlokę za sobą dwie utkwione w sercu włócznie, jak raniony zwierz, który znaczy swój ślad krwią i ma skonać z jej upływu... Zdaje mi się, że nie mówię, ale żerzę. Żeby już skończyć... Ciągle łażę i skomlę za Bogiem, jak pies za stopami rozgniewanego pana... Ale Pan nawet nie raczy się na mnie obejrzeć... A może ja chodzę tylko za jego cieniem... Więc ty wierzysz w nieśmiertelność dusz... (*zamyśla się*). Jakże ja cię ugaszczam, Regino kochana!.. Daruj mi... Zmęczona jesteś zapewne bardzo. Nie odpoczywałaś dłużej nigdzie?

Regina.

Nie. Od tego strasznego dnia nie odpoczęłam ani razu, bo nie oswoiłam się jeszcze z moją boleścią. Sam na sobie sprawdziłeś, ojcze drogi, że miłość jest bardzo niepojętą i rozum długo napracować się musi, zanim jej okropną prawdę wytłomaczy. Własnemi oczami widziałam, że mój Aureli spłonął, myśl ta tysiąc razy na dzień rozsadza mi głowę a jednak bywają chwile, w których ją odpędzam. Wspomnienie zamienia się na rzeczywistość, otaczają mnie i ludzą mary przeszłości, a gdy one pierzchną i oprzytomnieję, czuję chęć biedz za szczęściem, które ode mnie uciekło, choć wiem, że go nie doścignę, bo zniknęło, jak czas. Jechałam do ciebie ojcze z takim pośpiechem, jak gdybym tu Aurelego ujrzeć miała, a jeśli nie jego, to coś, co mi ulgę sprawi. Niemal wierzyłam, że powiesz mi jakieś słowo, które rozbłyśnie gwiazdą na otaczającej mnie nocy, że przestanę wisieć nad bezdenną otchłanią i oprę się na czemś trwałem, że cierpiąc razem, odnajdziemy

wadziliśmy sobie samą... rozprawę. Przystąpiliśmy do zadowolenia ciekawości naszej bez uprzedzenia. Tytuł: „Kobieta-lekarz w XIX wieku“ znamionował wprawdzie pracę literacką co najwyżej, fejletonową, godną zarówno pióra lekarza, jak i ekonomisty, lub ogólnie wykształconego dziennikarza, nie miał on bowiem nic wspólnego z kardynalnemi wymaganiami tezy doktorskiej, której zadaniem wedle statutów: *odkryć lub dowieść nowego w medycynie faktu*; pomimo to wstrzymaliśmy się z sądem aż do poznania tej pracy. Sądziliśmy bowiem, że pomimo niezbyt naukowego, natomiast bardzo rozgłośnego tematu, osoba wysoko inteligentna, kobieta wreszcie, potrafi gorąco przemówić *pro domo sua*, potrafi filozoficznie i ekonomicznie zgłębić sprawę, zgrupować i zilustrować fakty, któremi rozporządzała, wreszcie wyprowadzi pewne wnioski podstawowe. Sprawa wyzwolenia umysłowego kobiet jest ważną i drogą każdemu wykształconemu mężczyźnie; a gdy tylokrotnie stawaliśmy w jej obronie, miło nam było usłyszeć głos kobiety, głos osoby, która powinna była znać i przejść przez tę walkę wstępną, a na zasadzie własnego i cudzego doświadczenia zapoznać szeroki ogół poglądowo i krytycznie z całą sprawą, obronić jej położenie i postawić na trwałych, niezwalczonych fundamentach.

Cożeśmy zastali? Oto na wstępie dowiedzieliśmy się, że idea napisania tej rozprawy nie wyszła z głowy doktorantki, lecz od prof. Reclusa, materyałów dostarczył sekretarz fakultetu paryskiego, a obrobienia i wnioski — godne pióra czwartoklasisty, znającego się na gramatyce i stylu. Pannie Szulc, czy Schultze zdawało się, że zebrawszy fakty, dotyczące doktorek, że zestawiwszy je według krajów, że podawszy nazwiska ukończonych poprzedniczek i tytuły napisanych przez nie rozpraw, a także krótkie sprawozdanie o przebiegu starań francuskiego społeczeństwa w kwestyi internatu kobiecego, tj. ordynatury szpitalnej — uczyniła wszystko, co do niej należało. Więc całe stronice *naukowej* rozprawy zapełnione są nazwiskami francuzek, rosyanek, polek, angielek, amerykanek, nadto cyframi, wykazującemi, ile z tych pań pozostało w stanie dziewiczym, zamężnym lub wdowim (o rozwódkach nie ma mowy), pochwałami, oddanemi lekarskiej pracy niewieściej, kilku historyjkami o szczególnie wybitnych doktoryzacyach kobiet komplimentami prawionemi tymże przez profesorów i galantów — i na tem koniec. Raz ułożony szablonik został konsekwentnie przeprowadzony co do wszystkich krajów: Francyi, z jej szkołami w Paryżu, Montpellier, Algierze i Bordeaux, Rosyi z jej byłymi kursami lekarskimi w Petersburgu, Anglii z Londynem, Edymburgiem i Birminghamem, Szwajcaryi z Zurychem, Bernem i Lozanną, Ameryki z New-Yorkiem, Filadelfią, Bostonem, Indyami z Bombayem, Kalkuttą i Lahorą, Niemiec z Monachium, Belgii z Bruksellą itd. itd. Na zakończenie wnioski, wyrażone w *dwunastu* wierszach, a dające się streścić tak: druga połowa XIX wieku odznaczyła się ogólną dążnością do wyemancypowania kobiety, w tym ruchu przyjęły udział kobiety wszystkich krajów i odniosły zwycięstwo; ponieważ Francya przodowała w tej kwestyi, przeto niech żyje: *ma seconde patrie*. Oto koniec. Lecz na chwilkę wróćmy... do początku. Tu ze zdziwieniem dostrzegamy dedykacyę rozprawy: „naszemu znanemu archeologowi;“ mniejsza o to, ale skąd do tego filantropa tytuł *doktora* i członka Akademii nauk w Krakowie? Jak widzimy, panna Schultze, starająca się dopiero o pierwszy swój tytuł naukowy, już przywłaszcza sobie prawo obdarzania niemi innych.

Przekonawszy się zatem, że w dotychczasowej działalności młodej doktorki nie ma nic takiego, coby na zbytnią reklamę zasługiwało, zapytaliśmy, gdzie przyczyna tych objawów? Panna Schultze geniuszem, ani talentem nie jest; przed nią kończyły już setki kobiet uniwersytety, kończyły i odznaczały się świetnemi rozprawami, otrzymywały medale, stypendya i posady, a jednak głucho było o nich w tak usłużnej tym razem prasie; na polu praktycznem panna S. też nie odznaczyła się dotychczas; gdzież więc choćby najlżejszy motyw do tej czołobitności?

Najprawdopodobniejsza odpowiedź na to pytanie zawiera w sobie wyrok o naszym rozumie i dojrzałości umysłowej. Mniejsza o to z jakiego powodu podobało się współpracownikowi *Figara* (lub wreszcie w innych wypadkach jakiegoś pisma francuskiego) postawić pannę Schultze na ołtarzu wiedzy i okadzić ją uwielbieniami. Ale ponieważ podobało się to współpracownikowi *Figara*, więc nasze pisma padły przed nią na kolana, zabrzmiały hymnem pochwalnym, ogłosiły tryumf rodaczki. I nagle skromna studentka, autorka skromnej rozprawy została tryumfatorką, rozsławioną i ukazaną narodowi w ilustracyach. Bo tak się podobało współpracownikowi *Figara*. Ciekawa rzecz, gdyby mu się podobało oświadczyć, że my nie mamy rozumu i sądu własnego? Chyba również powtórzylibyśmy jego słowa, a przyznać trzeba z większą słusznością.

Bezstronny.

LISTY KRAKOWSKIE.

Jubileusz cesarza.—Wylewy uczuć a wylewy rzek.—Fraenkel, fabrykant bułów z Mödling. — Rokosz czernichowski. — Towarzystwo oświaty ludu i odczyt p. Szczepanowskiego. — Panu Dębickiemu podoba się Chyrów. — Mistrz Matejko i jego depesza. — Z p. n. r.

Czterdzieści lat panowania cesarza Franciszka Józefa dały dały powód do jubileuszu, który odbył się bez wiwatów, a natomiast otarł niejedną łzę, zabezpieczył dolę kalekom i sierotom. Dobroczynność, pobudzona wyraźnem żądaniem cesarza, prześcigała się w szczodrości miasta, stowarzyszenia, zakłady, banki, koleje i bogaci obywatele złożyli sumy, nadając dobremu celowi imię panującego.

Dla hr. Taaffego wezbrane serca a wezbrane rzeki, to jedno, więc widząc błogie skutki pierwszych, obalił wraz z Herbstem i Mengerem poważny wniosek regulacyi rzek. Rada państwa przed laty uchwałą swą wezwała rząd do zajęcia się sprawą regulacyi i do rozważenia: czy nie należałoby w tym celu uciec się do większej „operacyi kredytowej.“ Rząd nie sprzeciwił się uchwale i schował ją w poszanowaniu do archiwum parlamentu. Po czterech latach, Koło polskie przypomina uchwałę, bo rzeki przypomniały się klęskami wylewu; oto odpowiedź przedstawiciela rządu: moi panowie, uchwała parlamentu nic nie warta! Odpowiedź to nadto zwięzła dla Galicyi, która na wyraźne wezwanie rządu uczyniła ofiarę 40,000 złr. na sporządzenie planów, a która w zamian otrzymuje odpowiedź o wzmożonych potrzebach armii. Gdyby to

---

go pod jakąś postacią i że on w niej między nami na zawsze zostanie. Dopiero teraz rozumiem, że nastąpiło to, co jedynie nastąpić mogło: spotkały się dwie boleści i nic więcej. Nic więcej. Gdybyś ojcze rzekł: podążmy stąd gdzieindziej, pojechałabym natychmiast i łudziła się, że tam jakąś pociechę dościgniemy,

Makary.

I mnie tak rozpacz rwała, i ja chciałem lecieć do miejsca, gdzie go płomienie zżarły, i ja sądziłem, że go jeszcze zobaczę. Ale niemoc skrępowała stare ciało i rzuciła na pastwę chorobie, nie odebrawszy nawet pamięci nieszczęścia. Maligna wysiekła mnie widziadłami i na dalszą katuszę odstąpiła świadomości, która chłoszcze bezustannie. Och, przybądź śnie długi, nieprzerwany, nieskończony!

Regina.

Utuli się ojcze niedługo, ale nade mną nie prędko się ulituje.

Makary.

Nie znam dotąd szczegółów. Nie udręczysz mnie już bardziej żadnym, więc opowiedz, jak Aureli zginął.

Regina.

Donosiłam ojcu, że nienawykłszy do surowości stosunków europejskich, zaczął marzyć o wytworzeniu dla nich uczciwego przykładu i założył fabrykę, której dochody i zyski miały być rozdzielane między robotnikami. Rzeczywiście pokochali oni go i widzieli w nim swego dobroczyńcę. Przedsięwzięcie szło dobrze, ale ponieważ szkodliwie oddziaływało na interesy innych przemysłowców i budziło niepożądane roszczenia w ich gromadach roboczych, więc usiłowano go odwieść od zamiaru, następnie odstraszyć, a wreszcie, gdy to nie pomogło, pozbawiono kredytu i doprowadzono do niemożności pokrycia zobowiązań pieniężnych. Jednocześnie rozniecano w robotnikach naprzód przesadne nadzieje, a potem nikczemne podejrzenia. Ciemni, rozłakomieni, podszczuci przez intrygantów, nie otrzymawszy spodziewanych i lichwiarzom sprzedanych zysków, wybuchnęli buntem i podpalili fabrykę. Aureli, oburzony niewdzięcznością i zbrodnią, wpadł do papierni, gdzie go paru łotrów i sprawców pożaru zamknęło w gorejącej suszarni. Przybiegłam, kiedy... Nie, ojcze, nie mogę, może innym razem starczy mi sił na odmalowanie tego potwornego obrazu i moich uczuć... Odnieśli mnie bezprzytomną. Już go nie widziałam...

Makary.

Wcale? Nawet...

Regina.

Tylko ogień i dym, który odtąd rozpostarł się dla mnie po całym widnokręgu tylko jak wielka, czarna chmura. (*Na tarasie słychać krzyk i zamęt śród murzynów — wchodzi Gala*).

Gala.

Nie trwożcie się państwo. Przed domem przystanął Tipu-Tip, który poszukuje w Tamatawie zbiegłych od niego niewolników. On zawsze między murzynami budzi wielki popłoch.

Makary.

Śród nich są tacy, nawet mój Dżak. Ale kto mu pozwolił tu grasować? Gubernator miasta upewnił mnie...

Gala.

Gubernator jest jego tajemnym wspólnikiem. Zresztą powiada, że francuzi przyznali Tipu-Tipowi prawo odzyskania swojej własności.

Makary.

To niepodobna. Sumienie całego świata chrześciańskiego napiętnowałoby ich za to Kainową hańbą. Galo kochany, idź do agenta francuskiego albo do dowódcy okrętów wojennych, które jeszcze nie odpłynęły i poproś go ode mnie o pomoc. Takiego rozboju dopuścić nie powinien, bo przecież tam w Europie jego Rzeczpospolita mieni się orędowniczką uciśnionych i ochrypła od krzyku na handel niewolnikami.

Regina (*do Gali*).

Idę z panem. (*Wychodzą*).

Makary (*patrząc za nią wzruszony*).

Przyjęła chrzest apostolski. Może Bóg tylko czekał, aż ona mnie zastąpi w straży około jego dzieła i teraz wysłużonego żołnierza odwoła... (*wchodzi Morton*).

(D. c. n.).

można wystąpić z bagnetami przeciw spienionym falom, niktby nie sarkał, ale gdy rząd w właściwy sposób nie zechce zwalczyć tego nieprzyjaciela wewnętrznego, osłabiona przezeń siła podatkowa utrudni uzbrojenie na... zewnętrznego. Zobaczymy choćby w tym wypadku, czy wraz ze śmiercią Grocholskiego skończyła się i zasada Koła: „niechaj będzie jak bywało!“

W kilka dni pojawiła się burza. Fraenkel, fabrykant butów z Mödling pod Wiedniem, któremu nieuczciwość udowodniono w procesie, otworzył we Lwowie wielki sklep z obuwiem bardzo taniem. Zaniepokojeni szewcy udawali się gromadnie do władz miejskich, przeczuwając, że obcy fabrykant, pozyskawszy łatwowierną publiczność, zada cios przemysłowi domowemu. Otworzeniu takiego samego sklepu w Krakowie sprzeciwił się prezydent, dopiero zniewolony nakazem namiestnictwa, wydał pozwolenie. W dniu, w którym po raz pierwszy otwarto magazyn, udali się majstrowie z pomocnikami do prezydenta z prośbą o zaradzenie nieszczęściu, które przeczuwali; wysłano depesze do namiestnictwa, odczytując ze smutkiem odpowiedzi odmowne. Burza wisiała w powietrzu, aż rozszalała wieczorem. Byłem jej świadkiem.

Przed magazynem stał strażnik policyjny, agent zabraniał przechodniom dłużej się zatrzymywać; wtem z bocznej ulicy wyłoniła się gromada ludzi, może czterystu. Szli miarowym krokiem, bez słowa. Łatwo było odgadnąć, kto oni: twarze wybladłe, brody zaniedbane, odziani (w grudniu) w strzępki jeszcze z lata; ta nędza nazywa się czeladnikami szewckimi, żyją z dnia na dzień z roboty niestałej, wydzielanej przez majstra.

Stanęli przed sklepem i setki kamieni roztrzaskało wystawową szybę; tłum wdarł się do wewnątrz i... burza rozszalała w całej grozie. Połamane urządzenie sklepowe wylatywało w kawałkach na ulicę, wieszali się u półek z obuwiem, żeby je zerwać własnym ciężarem; między tłum wyrzucono cały zapas gotowego obuwia. W chwili, kiedy już nic nie było do zniszczenia, nadjechała zaalarmowana straż ogniowa, po niej oddział wojska i policyi. Aresztowano kilkanaście osób, a kupcy na całej linii trwożnie jeszcze siedzieli za przymkniętemi drwiami własnych sklepów.

Pierwsze buty, jakie ten szewc uszył, dostały się dyrektorowi policyi, p. Englischowi; namiestnik nie szczędził mu nagany za brak węchu w tem, o czem całe miasto wiedziało od rana. Sąd zajął się uwięzionymi, a część publiczności — nieszczęśliwymi. Postanowiono zaradzić niebezpieczeństwu, które śród smutnych i wysilkowych stosunków rzemiosła galicyjskiego okazało się zastraszającem. Majstrowie odprawiali zbytnich czeladników, dla których nie mają roboty, bo odbiorcy czekali tylko na otwarcie mödlingskiego magazynu; tani bazar obuwia i spółka rękodzielnicza mają być podwaliną do muru ochronnego przed łupieżą niemiecką; otworzyła ona jednak oczy rzemieślnikowi tutejszemu na własne wady, w których trwał jak rzetelny zachowawca.

Zarazek burzy dostał się do Czernichowa. Uczniowie szkoły rolniczej wypowiedzieli posłuszeństwo; kocia muzyka, wybijanie okien i obrzucanie nauczycieli jajami, trwały kilka dni z rzędu. Żandarmi, kurator i komisarz starostwa nie zdołali doszukać się przyczyny rozruchu; podobno skierowany on był tylko ku katechecie, od którego też okien zaczęli. Szkołę zamknięto, pozwalając uczniom wnosić natychmiast podania o przyjęcie; mimo że wszyscy to uczynili, wydalono kilku jako przewódców rozruchu. Tem przypieczętowano niewyjaśniony rokosz.

Towarzystwo oświaty ludu zapisało się chlubnie w ubiegłym roku. Szereg odczytów w formie zajmującej a pożytecznej treści, gromadził chętnych słuchania przystępnej nauki. Na dochód tego stowarzyszenia wygłosił p. Szczepanowski odczyt: „O polskich tradycyach w wychowaniu.“ Tak przedmiot, jak imię autora *Nędzy Galicyi*, zapełniły salę publicznością ciekawą.

Mam przed sobą sprawozdania *N. Reformy* i *Czasu*; pierwsza zachwyca się zapałem, siłą przekonania i świetną formą odczytu, drugi (pod świeżem wrażeniem własnych fejletonów o p. Blizińskim) ubolewa, „że były tu premissy, wszelako bez konkluzyi i afirmacyi, bez rozwinięcia tezy...“

Tradycye narodowe są dwojakie, dobre i zgubne — rzekł p. S. — i ukazał w całym blasku szkołę krzemieniecką, którą uważa za wzór. Chwali to znamię swojskie i czysto polskie, jakie zawsze starano się nadać u nas wychowaniu młodzieży. Przypomina, że w Polsce o lat kilkadziesiąt uprzedzono sąsiadów niemieckich zaprowadzeniem w szkołach osobnych nauczycieli do odrębnych działów, usunięto podział klasowy dla przedmiotowego. Radzi zwracać się do tej tradycyi w wychowaniu, której — zdaniem p. S. — wymaga natura nasza i psychologiczne warunki, jest ona wyższą nad inne i nie dopuści przyjęcia się niekorzystnych, obcych systematów na naszym gruncie.

Jako wielki cel wychowania, podnosi p. S. rozwijanie samodzielności w myśleniu i działaniu, jak to czynią w Anglii i Szkocyi, gdzie nie przeładowują ucznia wiadomościami w jakimkolwiek kierunku. U nas inaczej; niewolniczo idąc za niemcami, za ich sposobem nauczania bez względu na wychowanie, mamy młodzież podobną do maszyny, w którą wlewa się naukę łyżeczkami.

Jest to system przeuczenia, bez rozbudzenia wrodzonych zdolności, a zarzut czyniony młodzieży, że młodą być nie umie, powinien ugodzić tych, którzy do serc jej i umysłów nie mogą dobrać tonu na właściwy oddźwięk.

Spodziewaliśmy się, że p. Szczepanowski znając Galicyę lepiej od innych a występując w Krakowie z odczytem o tradycyach, powie więcej i dobitniej; spodziewaliśmy się, że wyzyska najwydatniejszy przedmiot, jaki nastręcza się tak rozumnemu człowiekowi.

Wyzyskał go nekrologista *Czasu*, p. Ludwik Dębicki, który odważnie przez śnieżne zamiecie pojechał do Chyrowa, by zwiedzić jezuicki zakład wychowawczy. Wrócił, a co napisał! A jak mądrze! Szczególnie trafia mu do przekonania, ów dwoisty podział, na bogatych i niezamożnych, na jedzących wybrednie i opychających się kaszą. Tak być powinno, niechaj się młodzież zawczasu nauczy, że w świecie jedni są na górze, drudzy na dole, że to porządek naturalny. Pisze tak gorąco, że, zdaje się, porywa za czuby chłopczyków i wiedzie ich do jezuickiego Chyrowa. Takiego hymnu, nikt jeszcze jezuitom bezinteresownie nie zapiał.

Spotkał nas zaszczyt — Matejko został wybrany członkiem honorowym wiedeńskiego Towarzystwa artystycznego. Podaję dosłowną odpowiedź mistrza na telegram z Wiednia: „Z wdzięcznością przyjmuję odznakę zaszczytu niespodziewanego, za którą z głębi serca dziękuję. Obecna ignoracya powszechna dla wszystkiego, co polskie, nadaje faktowi cechę odrębną i charakterystyczną. Niech żyją przedstawiciele prawdziwej sztuki w Austryi!“

Po tej odpowiedzi, *nous autres Polonais*... A otóż i rok nowy — oby nam przyniósł... prawdę!

Mor.

LITERATURA I SZTUKA.

Z ZACHODU.

Monachium, w grudniu 1888 r.

Przednia straż Szymona Maga II. — Cuda spirytyzmu. — Upiór konserwatywny pod batem. — Hrabia Douglas.

Jakby to ładnie było, gdyby tak z końcem roku pańskiego 2000-ego zaświtała ziemi nowa era! Kiedym w tutejszej katedrze, starej i poważnej swym czystym i bogatym gotykiem, słuchał teatralnie odśpiewanej i odegranej *Pasterki*, przyszło mi na myśl, że i teraz zanosi się na jakieś epokowe narodziny, na nowe jakieś ukrzyżowanie męczeńskie. Już nam nie starczy, albo raczej nie smakuje rozum dotychczasowej nauki; zaczynamy nie na żarty wierzyć — w duchy, nietylko *my* w Europie „zacofanej,“ ale i *my*, podłe libertyny z nad szarej Wisły.

W różnych zakątkach starego i nowego świata wyrastają cudotwórcy i cudowiercy, trzymający wysoko sztandar wiedzy — maluczko, a zrobi się z nich wszystkich jeden wielki Szymon Mag II, ciemnota powtórzy swoje oręże i harce.

Zanim to jednak nastąpi i dopóki wolno jeszcze nie wierzyć w religijnego Boulangera, którego gwałtem chce stworzyć w republice myśli stronnictwo np. spirytystów— pozwolę sobie opowiedzieć ciekawy fakt.

W Ameryce był sobie do niedawna pewien Henryk Seybert, który i wyznawał filozofię tańczących stołów i zarazem, jako człek dobrej woli, pragnął, jeśli nie dla własnego spokoju, to przynajmniej dla dobra ogółu, wyświetlić tajemnice szarlataństwa, któremu się dał otumanić. W tym celu, przed zgonem, zapisał wszechnicy w Pensylwanii znaczną sumę pieniężną na utworzenie katedry filozofii z warunkiem, ażeby zwierzchność naukowa wyznaczyła osobną komisyę „dla zbadania wszech systemów etycznych, religijnych lub naukowych, których stronnicy mniemają się być w posiadaniu prawdy — w szczególności zaś dzisiejszego spirytyzmu.“ Nie wiem, czy wykonawcom zapisu przypadło do smaku zaliczenie do „systematów“ tego, co zawsze budzi niejakie podejrzenie kuglarstwa, ale cóż było robić? Komisyę utworzono, a do składu jej weszło kilkunastu wybitnych uczonych, między nimi profesorowie Jerzy S. Fullerton i Robert Ellis Thompson.

Za zadanie najbliższe postawiono sobie sprawdzenie zjawisk, wywoływanych przez medya spirytystyczne, czy zachodzą one w rzeczy samej, czy też i o ile zawdzięczają swój pozór prawdy i rozgłos zwyczajnemu oszustwu. Czynności w tym kierunku trwały przeszło cztery lata — od czerwca 1884 do czerwca bieżącego roku.

Ażeby módz pojąć całą doniosłość tej „ankiety,“ wiedzieć należy, że nie wszyscy delegaci byli zasadniczo wrogimi przedmiotowi swej rewizyi. Jeden z nich, dr. Furness, skłaniał się raczej ku niemu, a przecież powiem odrazu, ażeby nie nadużywać twej cierpliwości, czytelniku, że raport przedstawiony teraz uniwersytetowi jest... haniebnym policzkiem, wymierzonym przez zdrowy rozsądek zaraźliwej głupocie ludzkiej.

Naturalnie nie trzeba stąd wyciągać demaskującego uogólnienia dla wszystkich innych dziwów spirytyzmu. Za mało jeszcze wszyscy umiemy, ażeby mieć prawo wyklinania z góry nowych odkryć, dlatego, że się wydają nieprawdopodobnemi; ale czyż podobna pohamować śmiech, czytając takie oto dane raportu:

Najpospolitszy typ cudów — to odbieranie odpowiedzi duchów na przesłane im za

pośrednictwem medium pytania. Medium trzyma pod stołem tablicę szyfrową, oprawną w drzewo, a na niej ołówek. Dla zamydlenia oczów widzom tabliczkę przyciska się do spodu stołu twarzą, a pod odjęciu ma ona już zawierać epistołę ducha. Otóż świadkowie stwierdzili, że ruchami, które łatwowierność przypisuje mistycznej epilepsyi, medium samo wydobywało ołówek z pomiędzy stołu i tabliczki i zapisywało ją. Przy pomocy również zręcznych ewolucyj odczytywało przedtem jeszcze podane sobie a przysłonione grzbietem tabliczki pytanie. Zauważono przytem, iż pismo ducha przedziwnie podobnem było do pisma medium. Gdy jednak delegaci nakrywali jednę tabliczkę drugą i przewiązywali je sznurkiem, tak iż odczytać pytania nie było sposobu — szanowny *spiritus* odmawiał repliki, co miało miejsce i wtedy także, gdy komisya pilniejszą zwracała uwagę na manipulacye podstołowe.

Jedną z próśb, wniesioną pod adresem „ducha" jeszcze przed posiedzeniem; czcigodni agenci jego, Petterson zarówno jak i głośny Slade, mieli zawczasu przygotowane odpowiedzi, które przez nieostrożność wstawili na tabliczkach, opartych o nogi stołu, a gdy jeden z delegatów na wychodnem potrącił je złośliwie końcem buta — Slade zarumieniony począł kręcić i łgać, jak pierwszy lepszy... profesor czarnej sztuki.

Nie więcej wzbudziła wiary tak zwana „materyalizacya" ducha, czyli coś w rodzaju dotykalnego objawienia. Tu podstęp był już wprost *gemein*. Z po za czarnej zasłony muślinowej wychylała się ręka ku kątowi pokoju, gdzie leżały: gitara i bęben. Zmniejszono światło i wnet oba instrumenty zaczęły wydawać harmonijne dźwięki. Ażeby usunąć podejrzenie, że niewidzialnym tym wirtuozem jest samo medium, pozwalało ono zająć czem innem obie swoje dłonie; chwytało np. oburącz ramię jednego ze świadków. Ale cóż, kiedy i on należeć musiał do grupy, otulonej czarną gazą, a natężony wzrok towarzyszów dostrzegł, że medium poruszało jedynie palcami tak, iżby wywołać wrażenie dotyku obu rąk, zaś w gruncie rzeczy jedną miało wolną i ona to wysunięta z pod zasłony dawała koncert.

Prawie-spirytysta dr. Furness najgrubiej może „zblamował" czarodziejów. Czterem medyom dawał pod adresem duchów pytania w kopercie; gdy była zapieczętowana lakiem, miał zaszczyt otrzymać odpowiedź, gdy zaś zeszył ją czerwonym jedwabiem, którego końce zaopatrzył w pieczęcie — duch nie raczył odpowiadać — snać obrażony tym brakiem ufności... Ale co ciekawsza, to, że i w pierwszym wypadku, na cztery jednakie pytania dawał (przez 4 medya) cztery różne całkiem odpowiedzi. Zdumiewająca z sobą zgodność ducha!

Dwa jeszcze momenty są iście wiekopomne. Komisya wezwała przez dzienniki wszystkie znane media — nie zgłosił się nikt. Przepadły jak kamyk w wodzie. To jedno. Za to stawił się pewien „profesor" magii i przekonał delegatów, że można daleko dowcipniej od Slade'a pokonać wszystkie nastręczane mu trudności i że sztuki jego nie są ani zbyt złożone, a wykonanie ich nie świadczy nawet o wielkiej wprawie. To drugie.

Zakrawa to wszystko na śmiałą potwarz, nieprawdaż, a ja na jej szerzyciela? Proszę więc sprowadzić sobie książkę pod tytułem: *Preliminary raport of the commission appointed by the University of Pensylwania to investigate modern spiritualism*, Philadelphia, 1888. Można się z niej dowiedzieć jeszcze czegoś w stylu daleko poważniejszym.

Slade robił swoje „doświadczenia" do spółki ze znakomitym profesorem lipskim, Zoellnerem, na którego nazwisko powołują się zwykle wszyscy spirytyści. Świadkrmi byli także słynny uczony Scheibner z Lipska, Weber z Gietyngi oraz po trosze i Wundt. Fullerton umyślnie odwiedził ich i oto co usłyszał. Wundt przyznaje, że „cuda" nie przekonały go, były bardzo łatwo i można je objaśnić zwyczajnemi poruszeniami rąk, tem bardziej, że niemieczczyzna na tabliczkach była właśnie znamienną niemieczczyzną Slada. Weber nie przypuszcza w tym razie złej wiary ze strony Slada, sądzi natomiast, że powaga Zoellnera, jako dobrego obserwatora, skłoniła to medium so przyjęcia widzianych przez nie faktów za objawienie. Prof. Scheibner również nie potępia Slada, ale nadmienia, że żaden z jego cudów nie opiera się tłomaczeniu przez magię. Stosunkowo najbardziej przychylnie okazał się Weber. ale ten miał już wówczas osiemdziesiąt trzy lata... No, a co do Zoellnera, to już wtedy zdradzał on powien zamęt w umyśle, a wkrótce potem stał się bardzo mało poczytalnym. W rodzinie jego było zresztą wiele wypadków obłędu.

Do licha! Nie wesoło przedstawiają się wszystkie *pro* spirytystów, po takiem mnóstwie i tak fatalnych *contra*. Ale cóż na to poradzić, kiedy zawiść ludzka jest większa, niż miłosierdzie boskie?

Bezimienne medium jakieś, już nie w nauce, lecz w polityce niemieckiej dowiodło w ostatnich dniach, że można nietylko wywoływać duchy, ale i sprawiać im porządne „lanie." Do eksperymentu użyto upiora, który ma wprawdzie i tłuste dawać ciało i twardo gnaty, ale rzadko kiedy jest widzialnym, a najczęściej daje znać z ukrycia o sobie czynami tępej a rozsrożonej bestyi. Tym cieniem jest wielebny hof-kaznodzieja Stöcker, choć nie tyle chodzi o niego, ile o sfery, trochę wyższe rozumem i stanowiskiem.

„Pan Stöcker — opiewa broszura niepodpisana „o pierwszych miesiącach panowania cesarza Wilhelma II" — zaczął publiczną swą karyerę od rzucenia klątwy na córy ziemi niemieckiej, że znają to i owo z pism Goethego, a nic z historyi króla Hiskiasa. Gdy wyobrażamy sobie rząd naszej ojczyzny na tym poziomie wykształcenia i pod wpływem tego rodzaju pojęć — przejmuje nas mroźny dreszcz i drżenie febryczne. Te warstwy narodu niemieckiego, które czują się spokrewnionemi z naszą arystokracyą duchową i z jej dzieł biorą pokarm dla swych umysłów, nie mogą wypisywać na tarczach swych imienia Stöckera, chociażby to miały czynić jedynie dla demonstracyi. Podobnież rząd nie powinien ani na dzień jeden podtrzymywać pozoru, iż idzie za sztandarem Stöckera, albowiem cała oświata germańska byłaby przez to zagrożoną."

Gdyby z tych słów nie można było żadną miarą domyśleć się autora, przypisanoby je — komu? Nie rzecznikowi narodu niemieckiego, lecz wybranego... Szczęściem jednak wszelkie prawie domysły zgadzają się na jedno, że odważnym prawdomówcą jest poseł do sejmu rzeszy, hr. Douglas. Parę tygodni temu był on przyjęty przez monarchę zjednoczonej Germanii na osobnej audyencyi, a prócz tego mowa, którą miał do swych wyborców, w swoim czasie roztrębywana przez całą prasę. mnóstwo posiada punktów stycznych z broszurą. Niektórzy podejrzywają o jej autorstwo Treitschkego, w naiwności swej niepomni na to, że humanitarny ten, prawie tak jak Attyla, albo Omar, dziejopis mógłby tylko głosować za... pomnikiem dla Stöckera.

Zresztą cały ton i tendencya broszury są jednym gromkim protestem przeciw konserwatywnym i sympatyi, jaką cieszą się u dworu. Anonym nie skąpi im bolesnych ciosów, z pod których wychodzą posiekani jak cielęce kotlety. Przemawia zaś w imieniu polityki pojednawczej, wyszydza nienaturalne sojusze ks. Bismarka z partyami najsprzeczniejszych odcieni, ostrzega przed grożącem odchyleniem się całego światłego ogółu na stronę Richtera, a przytem tak wybornie charakteryzuje stronnictwa i przeniknie ich ducha, jak tego już oddawna nikt nie uczynił.

Podobno *Gazeta krzyżowa* wezwała najlepszych lekarzów „jamy brzusznej i żołądka," ażeby pomogli jej strawić ten niesłychanie ciężki pasztet.

Cezary Jellenta.

Z NIEMIEC.

3 stycznia.

Rozpamiętywania noworoczne. — Kierunek główny kultury niemieckiej a stronnictwa reformatorskie.— Socyaliści. — Spirytyści. — Wegetaryanie. — Smak literacki publiczności niemieckiej a najnowsza powieść Neumanna *Sowy i raki*.

Materyalizm, w naukowem i praktycznem znaczeniu, jest bezsprzecznie najogólniejszą cechą kultury współczesnej a i w Niemczech hasło to najszerzej się rozeszło. Z mniejszem może powodzeniem, ale z nie mniej skupioną i silną wolą, jak Anglia i Francya, Niemcy zarzuciwszy metafizykę, wprawiają naukę ściśle, starają się o wzrost bogactwa narodowego, nie łamiąc sobie zbytnio głowy myślami o stosunku religii do nauki i kultury nowoczesnej i o porządku moralnym, z którego dla jednostki każdej wynikać powinny stałe przepisy postępowania.

Podczas gdy przeważna większość narodu niefilozoficzną i bezwyznaniową tę kulturę ceni wysoko i uważa za zdrową fazę rozwojową społeczeństw, coraz liczniejsze i donośniejsze powstają głosy, domagające się reform rozmaitych, popchnięcia całokształtu życia na inne tory.

Głosy te zasługują na uwagę, nie dlatego, iżby się powoływały na ważne dla ludzkości zdobycze, innemi uzyskane drogami, ale dlatego, że uznając w zupełności dodatnie rezultaty, wieńczące usiłowania kultury współczesnej, wykazują niebezpieczne i niekorzystne strony, a proponują środki zaradcze. Z tym, co nie zajmuje stanowiska zasadniczo odmiennego, dojść może do porozumienia każdy materyalista - teoretyk, a w każdym razie, jako na samoistny objaw życia umysłowego, zwrócić powinien uwagę na prawdy, nurtujące zwłaszcza wśród młodszych pokoleń inteligencyi.

Trzy grupy widzimy w Niemczech, które protestują przeciw obecnemu porządkowi rzeczy, nie w imię haseł przestarzałych, spadających niżej poziomu kultury współczesnej, ale owszem w imię idei postępowych, żądających kroku naprzód. Każda z nich ma swój odrębny punkt wyjścia, z którego zreformować zamierza całokształt życia społecznego i jednostkowego. Oto naprzód socyaliści z dążeń swoich znani.

Druga grupa protestuje przeciw usunięciu wszelkich idei, przekraczających granice nauki doświadczalnej: w upadku religij i wiary widzi przyczynę niedostatków, połączonych z kulturą współczesną. Grupa ta, podobna wielce do mistyków i spirytystów amerykańskich, zwróciła się dziś na manowce, uprawiając wszelkie formy spirytyzmu, który dla niej stanowić ma pomost do sfer wyższych, idealnych; mimo to przyznać jej trzeba, że punkt wyjścia ma słuszny.

Weźmy najświeższy zeszyt jej organu *Sphinx*, a ze zdumieniem ujrzymy, ile prawdy mieści się w artykule programowym. Zasadniczym tu poglądem, że siła i żywotność każdego narodu zależy od jego moralnego i umysłowego ideału. Dość przypomnieć sobie dzieje greków i rzymian, aby przyznać, że epoka najpiękniejszego i najzdrowszego rozwoju łączy się z czasami wiary w ideały, podczas gdy racyonalizm

i materyalizm towarzyszył upadkowi tych narodów. Zwolennicy nadzmysłowego na świat poglądu żądają więc powrotu miłości bliźniego zamiast walki o byt; żądają pomocy i współczucia dla innych, zamiast samolubnego zaspakajania swych żądz; żądają nowego uświęcenia cnót rodzinnych, zamiast wielożeństwa i wielomęstwa, praktykowanych ze szkodą dla społeczeństwa; żądają zreformowania porządku społecznego, który coraz więcej jednostek popycha do zbrodni lub samobójstwa; żądają wprowadzenia ideałów do sztuki, która staje się bezmyślną i niemoralną; żądają przedewszystkiem wskrzeszenia wiary w wiekuistość istoty ludzkiej i w moralną podstawę wszechbytu. Twierdzą, że każdemu człowiekowi wrodzonem jest przekonanie o istnieniu ogólnego porządku moralnego i że wyłączne zajmowanie się światem materyalnym, życiem praktycznem, nigdy stale zaspokoić nie może potrzeb ludów. Przyznajemy wszyscy, że reformy nastąpić muszą; przyznajemy, że dawne wiary przeżyły się, że potrzeba nowych ideałów i że powstają nowe idee, które zagrzewać będą przyszłe generacye; ale czy w magnetyzmie, duchach i sztuczkach spirytystycznych znajdą ludy zbawienie, o tem chyba większość najmniej uprzedzonych ludzi wątpić musi.

Bardziej jeszcze uwagi godną jest nauka, głoszona przez trzecią grupę reformatorską — przez zwolenników wegetaryanizmu. Zwykliśmy zbyt ciasno pojmować jej teorye i cele; ogół sądzi, że wymaga ona pożywienia roślinnego i że widnokrąg jej sięga tak daleko, jak dobro żołądka. Tak nie jest. Kto poznał dzieła, broszury i pisma, dostrzegł w teoryach wegetaryan zdrową krytykę stosunków współczesnych i rozległość ich idei reformatorskich. Wiadomo, że wychodzą z hipotezy wielce prawdopodobnej, iż sposób odżywiania się człowieka wpływa nietylko na siłę instynktu i wrażliwość organizmu fizycznego, ale niemniej na usposobienie jego moralne. Przypuszczają, że pożywienie mięsne czyni organizm ludzki skorszym do przyjmowania chorób i budzi w nim popędy samolubne i drapieżne. Przyjęcie powszechne jadła roślinnego powinno nietylko oddziałać na fizyczne uzdrowienie ludzkości, ale też skuteczniej, niż pouczanie, miłość bliźniego postawić na miejscu walki o byt; powinno wpłynąć na zreformowanie życia płciowego, wskutek taniości pokarmu roślinnego usunąć nędzę najdolegliwszą. Słowem, zmiana strawy ma zdziałać to wszystko, czego spirytyści spodziewają się po wskrzeszeniu wiary w sprawy nadzmysłowe, a socyaliści po wyrównaniu podziału dochodów.

Nie możemy wdawać się w krytykę wegeteryanizmu, tem mniej, że nauki przyrodzone w dzisiejszym stanie swego rozwoju nie mają często stanowczej odpowiedzi na wiele zarzutów. Nas tu zajmuje głównie okoliczność, iż wegeteryanie z ową głęboką tęsknotą za czystem życiem, z ową siłą abnegacyi, przypominającą pierwszych chrześcian, potępiają smakoszostwo i chęć używania, ogarniające dziś coraz szersze koła; że nie żądają zaspakajania wzrastających ciągle żądz, ale rozmyślają nad wybawieniem ludzkości z tyranii wygórowanych potrzeb. Zwracają się przeciw wszystkiemu, co jest złem i zgniłem w kulturze dzisiejszej i nietylko wierzą w skierowanie społeczeństwa na inną kolej, ale usilnie nad tem pracują. Można powątpiewać o trafności i praktyczności dążeń wszystkich tych grup reformatorskich, ale trudno nie uznać w nich nowej siejby czasu. Może też wolno żywić nadzieję, że w każdym z owych programów zbawczych tkwi odrobina prawdy i że cierpienia ludzkości, skoro usuniętemi być nie mogą, toć bodaj zmniejszenia doznają.

Że „coś gnije w państwie duńskiem," że czasy nasze nie przedstawiają szczytowego punktu, najzdrowszego rozkwitu ostatniej fazy kulturalnej, ale że poprzedzają one dopiero okres lepszy, o tem przekonywa nas nietylko życie, ale i sztuka, która wszak wiernem bywa odbiciem głównych jego prądów. Dzisiejsza nazywana bywa klasyczną — żadnego miana energiczniej byśmy jej nie odmówili. Sztuka klasyczna winna mieć ideały swe własne, rodzime, współczesne, ożywiające zarówno artystów, jak społeczeństwo. Dotychczas widzieliśmy w Niemczech tylko renesans (Odrodzenie): w poezyi Goethego i Schillera, w architekturze Schinkla i Sempera, w plastyce Schadowa i Rietschla, w malarstwie Corneliusa. Następcy ich czuli nieprawdziwość tej sztuki i słusznym wiedzeni instynktem, zwrócili się do motywów współczesnych, ale zamiast dojść do harmonii treści z formą, cechującą sztukę klasyczną, popadli w drugą ostateczność, w krańcową prawdę, w znienawidzenie ideału i wielkiego stylu.

Wybornie scharakteryzował smak dzisiejszej szerokiej publiczności August Niemann w najnowszej swej powieści „Eulen und Krebse." Wiadomo, że sowa i rak są symbolami handlu księgarskiego. Powieść Neumanna jest właśnie „ein Buchhändlerroman." Nie tyle zajmują nas w niej osoby i charaktery przedstawiane, ile rozmowy i tok spraw, z któremi autor nas zapoznaje. Postacie występujące reprezentują kierunki, uwydatniające się w dzisiejszym handlu księgarskim. Młody, pracowity, uczony subjekt przedstawia dawny handel, spokojny i na pewnej ufundowany podstawie, niezbyt ruchliwy i nieryzykujący zbyt wiele. Z zasadami takiego postępowania walczy przedsiębiorczy, rzutki duch nowoczesny, goniący za wielkiem powodzeniem. Wybornym przedstawicielem współczesnej literatury peryodycznej jest p. Fitte, literat, który podał myśl założenia nowego pisma p. t. *Deutsche Familie*. Charakteryzuje go autor z dokładną znajomością stosunków. Rozdziały traktujące o powstaniu i postępach pisma tego są prawdziwą kopalnią trafnych spostrzeżeń z dziedziny przemysłu księgarskiego i literackiego. Fitte zaleca nakładcy spekulować tylko tem, co niemcy nazywają „gemüth." Oto jakie według genialnego tego redaktora mają być myśli przewodnie pisma, które pragnie powodzenia. Bäumcher, jeden z właścicieli *Deutsche Familie*, przeczytał nowelkę i chciałby umieścić ją w swem piśmie. Nie pozbył się on jeszcze pewnego idealnego zabarwienia; nowela podobała mu się, gdyż była „głęboka."

— Głęboka? — zapytał Fitte. Spodziewamy się, że nie będzie *zanadto* głęboką.

— Jakto, czy możebne, ażeby myśli były zanadto głębokiemi? — odparł p. Bäumcher nieco urażony.

— Ba, widzisz pan — odrzekł Fitte — musimy uwzględniać szeroką publiczność, której życzliwość dla nas jest decydującą. Same w sobie istotnie myśli nie mogą być zanadto głębokiemi, ale dla *Deutsche Familie* wolałbym myśli płytszych nieco. Ah, panowie, nic ponad myśli płaskie, nad półprawdziwe, nieco spaczone, zduszone, wyleżałe; na stu czytelników przynajmniej dziewięćdziesięciu pięciu, stu mniema, że im się z duszy rzekło. Podobnie rzecz się ma i z uczuciami. Powiadasz, panie Bäumcher, że nowela zawiera uczucie ciepłe. Bardzo to pięknie dla noweli jako takiej, ale dla pisma naszego potrzeba uczucia, któreby było przystępnem dla szerokiej publiczności. Niema jak fałszywy patos; oburzenie moralne na niestosownem miejscu, oto tajemnica wielkich powodzeń, entuzyazmu dla rzeczy podrzędnych, otwierająca górę Sezam."

Według tych zasad układa się też próbny numer nowego pisma. Wychodzi tedy *Deutsche Familie* i odrazu zyskuje sobie rodziny niemieckie, gdyż zawiera „trzy stronice autografów, dwie stronice rebusów i żartów, dwie stronice dobrych rad dla kuchni, piwnicy, dla utrzymywania kwiatów i akwaryum..."

Ładawa.

TEATR.

M. Gawalewicz. *Guzik*, komedya w 1 akcie.

Zanim podniesiono zasłonę, daremnie sililem się odgadnąć, co za *guzik* mógł autorowi nastręczyć sposobność do napisania komedyi. Gdyby szło o bajkę, łatwiejby było pod nagłówkiem—*Guzik i pętelka*, usnuć jaką drobnostkę, choćby tak po częstochowsku zaczynając: „Raz pętelka narzekała, że pod guzem niknie cała..." Ha! tytuł to nawet bardzo wdzięczny, do różnostronnych rozumowań alegorycznych otwierający drogę. Pod takim dachem bezpiecznie można rozprawiać o wzajemnej pomocy, o doborze naturalnym, o niewieściej i... męskiej emancypacyi. Ale — to komedya! Jakąż w niej *guzik* może zawiązywać intrygę? Tu mimowoli nasuwa się natrętna myśl poziomа o różnych tego ozdobowo-użytkowego przedmiotu gatunkach, a pytania *do czego? — od czego?* — w nawias ujęte, stają drwiące obok nagłówka, niby klowny przy zamaskowanym posążku. Nagle mgłę, zgęszczoną nad widmem *Guzika*, rozdarł jaśniejszy promień światła. Ileż to razy, zrządzeniem losu, pozbawiony niespodzianie tej ornamentacyjno-utylitarnej części stroju, gorzko wyrzekał niejeden filister; ileż to razy *ona*, niegdyś „róża rajska" i „niebianka," nie zaradziwszy w porę temu brakowi, przykre znosić musiała wyrzuty, a los skłóconej stadła harmonii na cieniuchnej wisiał nitce!.. Nie, *guzika* lekceważyć się nie godzi. Patrzmy i słuchajmy: oto właśnie podnoszą kortynę.

Środkowemi drzwiami wchodzi na scenę młoda para — Józef (p. Ładnowski) i Janina (p. Ludowa). Spożywszy poprzednio smaczny obiad, raczą się oboje kawą i pomadkami. On wrócił dopiero co z podróży, całą noc nie spał; jest więc znużony i tylko przez grzeczność dotrzymuje towarzystwa małżonce. Obowiązek zatem prowadzenia wesołej rozmowy na jej barkach wyłącznie spoczywa. Łatwo było o temat. Miodowe miesiące niedawno minęły, świeże po sobie zostawiając wspomnienie. On, dawniej tak czuły, dziś poważnie, ale chłodno ją zapewnia o swem dla niej przywiązaniu. Spoczywa na mirtach zdobytych, pewny zwycięstwa. „Gospodarska miłość na domowy użytek" nie przedstawia dla pani żadnego uroku. Trzeba tedy drzemiącego obudzić ostrogą zazdrości; niech mu się nie zdaje, że skarb na całe posiadł życie. Dąży ona do celu bardzo prostą drogą: opowiada mężowi, jak ją pocieszał, osamotnioną, mieszkający w tym samym domu, pan Zygmunt, słynny serc zdobywca, jak żywą ku sobie wzniecił sympatyę, jak daleko już zaszedł... Związanego dozgonnym ślubem, wielbiciela z urzędu dziwi to zrazu, potem drażni, wreszcie gniewa i oburza; ale poczucie godności osobistej i zdrowy rozsądek trzyma na wodzy sercowe porywy. Dyalog — niewytworny, co prawda, ale zręczny i dowcipny a metoda intrygowania, jakkolwiek nadzwyczajną nacechowana prostotą, mogłaby pod piórem pisarza-artysty do właściwych doprowadzić wyników. Należało tylko z obranego nie zbaczać toru, a węzła miniaturowej akcyi szukać nie w kieszeni mężowskiego surduta, lecz w naturalnych, psychicznych samej sprawy załamach. Autorowi jednak, na nieszczęście, zabrakło sił, cierpliwości do prawidłowego wysnucia całej osnowy — i to właśnie w chwili, kiedy mąż, drażniony spowiedzią szczebiotliwej małżonki, począł swym smutkiem ujawniać przed jej oczyma czarny cień ukrytyc

w sercu płomieni. Jakiś szatan szepnął do ucha komedyopisarzowi: „kończ-że raz już, kończ, a pamiętaj, że masz o... *guziku* pisać!" I na raz Janina, zachowująca się dotąd przyzwoicie, zaczyna mężowi „po kieszeniach myszkować." Znajduje tam chustkę uperfumowaną, resztkę biletu, świadczącą o bytności na balecie i (o zgrozo!) guzik... od sukni kobiecej. Wybucha więc gniewem: „Co to za guzik? — jaki guzik?— skąd ty przychodzisz do takiego guzika?" Słuchacz i widz, który dotąd patrzał na spokojnie dążącą do celu, sprytną kobietkę, nie wie, co ma sądzić o jej nagłym gniewie dziecinnym. Wprawdzie niespodzianki takie zgadzają się najzupełniej z kameleonową niewiastek naturą; ale w danem miejscu mogłoby się bez nich obejść — tembardziej, że autorowi o uwydatnienie patologicznych stron charakteru wcale nie chodziło. Mąż usprawiedliwia się — dlaczego, zrozumieć trudno. O ileśmy go z poprzedniej poznali rozmowy, jest to człowiek rozsądny. Powinien był więc poprosić grzecznie o zwrot guzika i... wyrzucić go za okno. Tym sposobem rozproszyłby wszelkie podejrzenia. Ale cóżby się stało z komedyą? Trzeba jeszcze jedną i jeszcze jedną przyczepić łatkę; bo inaczej mara sztuki nie przyoblecze się w kształty widome. Bohater, zwracający widocznie uwagę na drobnostki (co się z charakterem męskim bynajmniej nie zgadza) zdołał spostrzedz i dowieść, że zakwestyonowany guzik jest własnością żony. Po burzy nastąpiła pogoda. Ale nie na tem skończyć się miało. Użyteczna ozdoba, której widok niedawno żonę w zły humor wprowadził, obudza teraz zazdrosne podejrzenie w umyśle małżonka. Przypomina on sobie, że guzik (bodajbym pióro sprawozdawcze złamał na tym marnym wyrazie!) został przez niego znaleziony u progu mieszkania owego lwa salonowego, który Janinę urokiem wdzięków fizycznych i zalet umysłowych miał oczarować. Kto wie, możeby się mniemana komedya Otellową zakończyła zbrodnią, a naiwny zbieracz guzików w tragicznej wystąpił roli, gdyby szczęśliwy los nie podsunął gazety, w której zanotowano szczegółową wiadomość o nagłej przed kilku tygodniami ucieczce pana Zygmunta, co usuwało możliwość wszelkich stosunków jego z Janiną w danym okresie czasu. Postawiła jednak małżonka na swojem — choć przy pomocy Skierki i Chochlika; bo... obudziła zazdrość w małżonku. Lichy fajerwerk dowcipu spłonął bez dodatniego w umysłach śladu. „I cóż z całego waszego mozołu? (powiedziałby Goethe)—nędzne klecenia i łata przy łacie: chcecie płomienia — usilnie dmuchacie, ale w cóż?—kupę popiołu." Autor, któremu błyskotliwy talent przeznaczył rolę wyrabiacza literackich drobnostek nie myślał wprawdzie o rozniecaniu wielkiego płomienia; ale zamiast wysnuć swą jednoaktówkę z danego wątku, drogą psychicznej ewolucyi, wpadł w zaczarowane koło nędznych podpórek i stworzył głupstewko, przedstawiające gmatwaninę nieprawdopodobnych sytuacyj, niewarte nawet... srebrnego guzika.

A. G. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Katedra dziennikarstwa w uniwersytecie amerykańskim. — Gdzie jest zawód powinna być szkoła.— Reporterya. — Błyskawiczni fotografowie życia. — Literatura i przemysł w dziennikarstwie. — Lekcya przykładowa.—Rozbiór ćwiczenia *Gazety rolniczej.*— Próba korespondencyj własnych. — Wróżby karnawałowe. — Bal prasy na korzyść prenumeratorów.

Jeden z *Kuryerów* naszych ubawił się projektem jakiegoś uniwersytetu amerykańskiego, który zamierza otworzyć osobną katedrę dziennikarstwa. Pod kierownictwem profesora studenci mają się kształcić teoretycznie i praktycznie w pisywaniu artykułów wszelkiej treści, wt. z. reporteryi. Mnie pomysł ten nie wydaje się ani dziwnym, ani śmiesznym. Bo skoro tylko zawód jakiś istnieje, powinna również istnieć dla niego odpowiednia szkoła. Nikt zaś nie zaprzeczy, że zarówno u nas, jak w innych krajach ucywilizowanych powstała osobna klasa ludzi, zarabiających pisywaniem do gazet artykułów o wszystkiem. To, o czem ów *Kuryer* mówi jako o żartobliwem przypuszczeniu, jest już najrzeczywistszą prawdą. W warsztatach redakcyjnych prasy pracuje mnóstwo robotników, którzy dziś zdają sprawę z zaćmienia słońca, jutro z dramatu, koncertu, kierowania balonem, doświadczeń hypnotycznych, procesu w sądzie, odczytu lekarskiego, książki pedagogicznej, historycznej, filozoficznej — itd. O ile te mniejsze i większe „sylfy" pozostają w swej roli i nie udają stugłowych specyalistów, nie można powiedzieć, ażeby ich praca była blagą i nadużywaniem wiary publicznej. Są oni bowiem naturalnym wytworem potrzeb swego czasu, którym zadość czynią. Czas ten wymaga od dzienników nie myśli głębokich, nie sądów krytycznych, nie natchnień, nie artyzmu, ale szybkiej informacyi. Jeżeli odbywa się zaćmienie słońca, czytelnikowi gazety nie chodzi o naukowe objaśnienie zjawiska, ale o opis jego przebiegu. Po co tu więc astronom? Jeżeli dokonywane są próby kierowania balonami, ogół nie dba o wykład zastosowania silnego motoru małej ciężkości, lecz o obraz i rezultat doświadczeń. Po co tu więc fizyk? Jeżeli w sądzie rozstrzyga się ciekawy proces, tenże ogół nie żąda od dziennika rozbioru psychicznego i socyologicznego, ale przedstawienia zeznań świadków i oskarżonego oraz wyroku. Po co tu więc psycholog i socyolog? Wszędzie wystarczy reporter, bystry i zręczny protokólista, informator. Ameryka, zaprowadzając katedrę uniwersytecką dla kształcenia dziennikarzów, posuwa się tylko dalej w konsekwentnym rozwoju. Ona dawno już odcięła swą prasę codzienną od pola literatury i przyłączyła do dziedziny przemysłu. Zrzekła się prawie zupełnie literatów, poetów, dramaturgów, powieściopisarzów, uczonych i zrekrutowała swoją armię głównie z reporterów. Mają też oni tam całkiem inne znaczenie, niż u nas. Reporter amerykański to nie nasz „sylf," używany do posług pośledních, sokół lub wyżeł redakcyjny, pachołek sprawny, tropiciel nowin brukowych, rewizor zaułków i plotkarz, przebierany czasem w szaty poważnego sprawozdawcy; to pierwszorzędna siła pisma, agent wywiadowczy, Argus wielooki a przytem nieraz człowiek bardzo rozumny i samodzielny— jakim był np. Stanley. Człowiekowi takiemu można równie powierzać różne zadania, jak fotografowi różne przedmioty do odbicia w naturalnych, zwiększonych i zmniejszonych rozmiarach. Wielostronna wiedza pozwala mu wszystko pojąć ogólnie, a zręczność — przedstawić jasno i wiernie. Ponieważ ludzie ci są zwykle odpadkami rozmaitych zakładów specyalnych a w jakimś do zawodu dziennikarskiego przygotowywać się muszą, więc potrzebują albo terminowania praktycznego w warsztacie redakcyjnym, albo zastępującej go szkoły. Czego ona ich nauczy? Zdobytych doświadczeniem sposobów chwytania w lot szybko przelatujących objawów życia, odróżniania ich wagi publicznej, sprawdzania ich wiarogodności. Do tych uzdolnień przybywa jeszcze jedno — forma. Najdzielniejszy reporter, który nie umie pisać poprawnie i żywo, jest tragarzem, posłańcem, telegrafistą, ale nie dziennikarzem. Ogół na artyzmie językowym, jak na każdym innym, nie zna się i nie zwraca na niego zbytniej uwagi, i jeśli Flaubert lub jemu podobni rzeźbią kunsztownie swe utwory, to dla znacznej większości swych czytelników marnują dużo pracy daremnie. Ale i ten tłum tępy, na piękność stylu niewrażliwy i w wymaganiach niewybredny ma pewne granice dla swej pobłażliwości, po za które niedbalstwu i niedołęztwu wychodzić nie pozwala. Kto kiedykolwiek z surowszemi nieco pod tym względem żądaniami pełnił smutne obowiązki pracza i farbiarza, czyli redaktora, ten wie, jak dalece nawet ludzie ukształceni i utalentowani porządnie pisać nie umieją. Często rzucają ci garść zbrukanych szmat, z których musisz zrobić czysty papier, usunąwszy z nich przeróżne niechlujstwa: przypadkowe rymy (w prozie), niepotrzebne lub cudaczne wyrazy, nużące powtarzania, wątpliwe stosunki przymiotników z rzeczownikami itd. Są to błędy elementarne, którym powinna zapobiegać szkoła, jeśli nie może samouctwo. Przypuszczam, że przecież oddziałałoby to na studentów dziennikarstwa, gdyby ciągle słyszeli od swego profesora: nie należy pisać: „w naiwności swej skromności sądziła ta miła dziewczyna, że przyczyna...", albo: „rzucił kamień w ogród i wpadł w takowy, nie myśląc niszczyć onego, lecz że takowy...", albo: „zdecydował się poświęcić się, przyjąwszy na się zobowiązanie się...", albo: „biegł za tym człowiekiem pewnym krokiem z fuzyą nabitą samą kulą."

Nietylko pojmuję użyteczność katedry dziennikarskiej w uniwersytecie, ale jasno wyobrażam sobie przebieg lekcyj. Profesor zadaje studentom temat: napiszcie panowie notatkę tygodniową p. t. „z prasy." Pierwszy oddaje ćwiczenie współpracownik *Gazety rolniczej*, które brzmi tak (rzeczywiście!):

„Stan powietrza oddziaływa niewątpliwie na uczynki człowieka, na sprawy społeczne i wypadki polityczne, choć nauka dziś jeszcze wpływu tego określić nie może. Dlaczegożby wpływ ten nie miał się wywierać na pióro dziennikarza, który będąc sprawozdawcą chwili bieżącej, musi koniecznie odczuwać humory i usposobienia tej chwili? Otóż „aura" ostatnich dni kończącego się (dla czytelników zaś skończonego) roku) roku, najmocniej odrysowała się w ostatnich n-rach (51) dwóch tygodników warszawskich, niemających zresztą pomiędzy sobą nic wspólnego, prócz pewnych godeł wrzekomo postępowych, *Głosu* i *Prawdy* i choć *Głos* rzadko bywa *głosem prawdy* a *Prawda* niezawsze ma *głos* czysty. Ze stanowiska programu „podporządkowania," znajdujemy wytłomaczonemi w *Głosie* tendencyjne artykuły przeciw inteligencyi wiejskiej, ale czytając ostatnie, o opłatach za posługi kościelne i o landlordyzmie, czuje się ów nieustający podczas ostatnich dni Bożego narodzenia deszcz, marznący na grudzie i późniejszy śnieg roztopiony z błotem.

Czekajmy tu, zasiądźmy na tym miękim śniegu,
Dziś słońce ma tylko dwie godziny w biegu
I nigdy nie wychodzi z mglistego obłoku
Co za przepyszny widok, co za pora roku!

napisał Niemcewicz w trawestacyi sielanki Wirgiliuszowej „Tytyr i Melibeusz." Co za obfitość żółci nalanej do maleńkiego naparstka sensu owego pisania, z którem przecież pogodzić się możemy, ponieważ w tych warunkach, pozostanie ono zapewne nieszkodliwem. Treść wspomnianego artykułu *Prawdy* możnaby nazwać „zwyczajną" gdyby nie umieszczony w nim wiersz jakiegoś *Egrota*, który jest rozkosznem zgrzytaniem zębów."

— Co pan właściwie chciałeś wyrazić? — pyta profesor.

— Ja... ja... — odpowiada student— chciałem coś napisać.

— No, ale co?

— Tak sobie o aurze, *Prawdzie*, *Głosie*, śniegu i Niemcewiczu.

— Bardzo pięknie, jakiż jednak upatrzyłeś pan związek między tymi przedmiotami?

— Doraźny.

— Co to znaczy? Dlaczego piszesz, że numery 51 dwu tygodników są „ostatnimi"

w roku; dlaczego ich godła uważasz za „wrzekomo postępowe,“ dlaczego mówisz: „treść wspomnianego artykułu *Prawdy*,“ kiedy o żadnym artykule jej nie wpomniałeś, dlaczego Egrota, bardzo znanego pisarza, nazywasz „jakimś,“ dlaczego chcesz „usiąść na miękim śniegu,“ dlaczego wyrazy „aura“ i „zwyczajny“ opatrujesz cudzysłowami?

— Dla... dla żywości.

— Dosyć — uspokój się pan.

Szanowni słuchacze, zapamiętajcie to sobie jako regułę ogólną, zasadniczą, że nie należy tak pisać najmniejszej notatki, ażeby ona na czytelniku sprawiła wrażenie rozsypanych klepek głowy.

A teraz przygotujcie „korespondencye własne“ z rozmaitych stolic Europy.

Studenci fabrykują. Okazuje się, że dwaj napisali prawie jednakowe, obie „własne,“ obie z Londynu i w obu autorowie opowiadają swoje przygody w wyprawie ze znajomym agentem policyi, który w norach złodziejskich poszukiwał „rudego“ rzezimieszka.

— Jakże to być mogło, ażeby dwaj korespondenci jednocześnie poznali tego samego agenta, odbyli z nim tę samą obławę na tego samego złodzieja. Który z panów od drugiego przepisał.

— Ja — nie.

— I ja — nie.

Dalsze śledztwo rozwiązuje zagadkę, że obaj przepisali z gazety niemieckiej.

— Moi panowie — rzecze profesor — porządny dziennikarz nie powinien nikogo okradać, a jeśli już takiej winy się dopuści, niechże przynajmniej na cudzej rzeczy nie umieszcza ostrzeżenia: „moja własna.“

Tak mniej więcej odbywałaby się nauka dziennikarstwa, a chyba przyznacie, że nie byłaby bezużyteczną.

Przypuśćmy, że stanął przed nami dyplomowany słuchacz takich wykładow. Donosi on nam (w *Kuryerze codziennym*), że Fikalscy zawiesili swoje... nogi na wierzbach i usiadłszy nad brzegami karnawału, płaczą. Balów bowiem w tym roku ma być bardzo niewiele. Czy to prawda! Jeżeli są ludzie poważni, którzy tańcowanie uważają za dzielny środek „podnoszenia upadającego ducha narodowego“ i „wzmacniania słabnącej energii społeczeństwa,“ nie sądzę, ażebyśmy zapomnieli o tak ważnych powinnościach obywatelskich. Mnie się zdaje, że jedynie długość karnawału opóźnia rozpoczęcie go i zwalnia rytm zabaw. Na początku *andante*, a zobaczycie, jakie przy końcu będzie *presto*. Tyle lat w ten sposób przebiegała symfonia naszego życia, miałażby teraz zmienić swą postać? Ale *Kur. codz.* zapewnia, że tak jest, zatem mu wierzymy. Zamawiam sobie tylko głos w tej sprawie na później. Bo jakkolwiek już dziś należałoby pospieszyć z wnioskami, zaczekam do postu, kiedy już przesunie się przed nami cała panorama karnawałowa i kiedy w niej zobaczymy pustą i szarą smugę, gdzieniegdzie ożywioną obrazami podskakujących figur.

Przebąkują, że ma się odbyć składkowy bal prasy na dochód prenumeratorów, którzy z wstrzemięźliwością względem karnawału połączyli oszczędność względem gazet. Zwłaszcza pisma, podtrzymywane przez „czoło narodu,“ podobno poczuły wielki ubytek. Szlachcic coraz częściej przysięga się, że przy obecnych cenach zboża, wysokim kursie naszych pieniędzy i drożyznie koniaku, nie może na olej dla swej głowy wydawać rocznie 12 rs. I tę dziurę trzeba załatać wielkim balem, bo czemże innem? Zresztą, skoro dotąd abonenci karmili prasę, niechże teraz prasa karmi abonentów.

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze! Nie widzę innego sposobu porozumienia się z anonymem, który w numerze 51 *Prawdy* ocenia pracę moją *Teorya celowości*, jak za pośrednictwem tejże *Prawdy*. Porozumienie się to dlatego już byłoby dla mnie pożądanem, że widoczna bezstronność oceny i nawet przychylna opinia o pracy mojej budzą we mnie ufność, iż w danym przedmiocie łączy nas dostateczna ilość punktów zgody, abym mógł rachować, do pewnego stopnia przynajmniej, na możliwość rozpostarcia tej zgody również i na inne punkty.

Nasamprzód recenzent mój domyśla się, że książka moja jest odpowiedzią na rozprawę ks. Morawskiego. Jestto domysł o tyle nieścisły, że tak samo słusznie mogłaby ona ujść za odpowiedź na książkę Janeta i wielu innych. Wyłuszczyłem w pracy swojej, iż między innemi z rozprawy ks. Morawskiego czerpię materyał ilustrujący dlatego, że rozprawa ta jest jedyną w tym przedmiocie u nas; uważam zaś za swój obowiązek przedewszystkiem nie pomijać prac polskich, jako zostających w najbardziej bezpośrednim stosunku do naszego życia umysłowego. Gdyby zagadnienie celowości nie posiadało żadnego znaczenia naukowego, albo gdyby było stanowczo już roztrzygniętem, sama tylko rozprawa ks. Morawskiego nie byłaby w stanie skłonić mię do napisania czegoś więcej nad pospolity artykuł.

Nie mogę się też zgodzić ze zdaniem recenzenta, jakoby zagadnienie celowości nie zasługiwało na rozbiór obszerniejszy. Skoro w obronie naukowego znaczenia teleologii można pisać tomy o 800 stronic, jak to uczynił Janet; skoro literatury francuska, niemiecka i angielska płodzą wciąż szeregi rozpraw bezpośrednio temu przedmiotowi poświęconych i jeszcze liczniejsze szeregi prac, z których pośrednio można wnioskować o rozległym jeszcze wpływie tej doktryny na umysły; skoro wreszcie fala ta bije o nasz brzeg niedostatecznie obwarowany tamami oporu, to bodaj warto się nad tem cośkolwiek zastanowić. Poglądy, chociażby najbardziej w nauce utrwalone, nie zamieszkują idealnych przestworów platońskich, lecz żyją w danem miejscu i w danych umysłach; by im przewagę zapewnić, trzeba je rozwijać, trzeba ich bronić, trzeba wywalczać dla nich grunt i powietrze od przeciwników. Fakt, że np. taka książka, jak Dębickiego *Nieśmiertelność jako postulat przyrodoznawstwa*, w krótkim okresie czasu święci już trzecie wydanie, że wyrastają jak grzyby po deszczu rozprawy ks. Zaborskiego *Darwinizm wobec nauki i rozumu*, ks. Morawskiego *Celowość w naturze*, i wiele innych — fakt, mojem zdaniem, jest wymownym i przekonywa mię, że należy nie lekceważyć go sobie, nie przyglądać się biernie tej bujnej wegetacyi chwastów, w przeświadczeniu, że słuszność po naszej stronie, że zwycięztwo wyznawanych przez nas poglądów jest kwestyą czasu tylko, lecz trzeba czynem walczyć. Nie jest to walka nienawiści i zagłady, lecz walka o poglądy, o prawdę. Nadto, nie łudzę się wcale, iżby doktryna celowości była już z kretesem obaloną: głębokich korzeni jej z natury ludzkiej nigdy nie wykarczujemy i zawsze jej wilczki będą się przedzierały do winnic uprawianych przez naukę. Utrzymuję tylko, zważywszy *pro* i *contra*, iż jest rzeczą wielce prawdopodobną, że doktryna ta w dziedzinie nauki jest błędem, a przeto wcale nie uważam za rzecz zbyteczną poglądy swoje w tej materyi uzasadniać, jak umiem, bronić ich, jak mogę, i to — licząc się z danemi warunkami miejsca.

Dalej, winienem zauważyć, że praca moja chyba tylko z pozoru wydawać się może polemiczną. Z natury rzeczy wypływa, że, roztrząsając zasady niewyznawanej przez się doktryny celowości, muszę brać gotowe już jej pojęcia, tezy. i rozważać ich wartość. Tu się otwierają dwie drogi: można było wziąć tę doktrynę w jej oderwanej postaci, niezależnie od pojedynczych umysłów i dzieł, które ją reprezentują; albo znów można było roztrząsać jej materyał konkretny, pojęcia i tezy w ich żywych kształtach, jak one rzeczywiście występują w piśmiennictwie. W pierwszym razie ściągnąłbym na się zarzut, że zlewam w martwy obraz abstrakcyjny to, co drga życiem barw i kształtów indywidualnych, że mam do czynienia z formułą przez siebie wydystylowaną; wolałem więc drugą drogę, tu i owdzie tylko skracaną przez ustępy abstrakcyjne, a wolałem ją tembardziej, że materyał konkretny dosadniej przemawia do umysłów. Tak więc, w pracy mojej dany materyał pojęć i tez rozkładam na pierwiastki znane; następnie zaś oceniam wartość naukową tych pierwiastków, zarówno jak wartość tych wiązadeł, za pomocą których powiązano je w całości teoretyczne myśli; [illegible] innych faktów nie mam, poczem usiłuję wysnuć stąd prawdy dla teoryi nauki. Tak samo postępuje sobie chemik z odpowiednim sobie materyałem faktycznym, którym są rozkładalne ciała w dostępnej dla badania przyrodzie. Różnica ta jedynie, że dla chemika każde odkryte połączenie jest faktem jednostajnej do zaregestrowania wartości, gdy tymczasem dla filozofa nie każde pojęcie, nie każda teza nadaje się do zaregestrowania, bo on celowo poszukuje takich pojęć i tez, któreby się mogły stać narzędziami do zdobywania prawdy naukowej. Sądzę więc, iż z tego stanowiska słuszniej byłoby nazwać pracę moją analityczną i krytyczną.

Nie wątpię, że w książce mojej znalazłoby się dużo do sprostowania i dlatego żałuję, że recenzent mój nie wytknął wyraźnie chociażby tych „niewielu zdań, którym miałby cokolwiek do zarzucenia.“ Ale właśnie, wobec swojej zupełnej gotowości do odpowiadania za własne winy, nie chciałbym się ujrzeć obarczonym odpowiedzialnością za winy cudze. Anonym, zarzuciwszy mi wadliwy układ całości, pisze: „Czyczelnik, być może, zauważył pewną niełączność w powyższem przedstawieniu wywodów. Wada ta naszego artykułu byłaby wtedy niejako odbiciem podobnego braku w pracy p. M.“ Nie świadczy to w każdym razie ani o poczuciu sprawiedliwości, ani o cywilnej odwadze mojego recenzenta, gdy, obwarowawszy się już anonymem, odsyla jeszcze czytelnika pod moim adresem po jeneralną egzekucyę. Przynajmniej podzielmy się brzemieniem odpowiedzialności według zasady: *suum cuique*. Ponieważ nie pisałem systemu jednolitego, lecz analizowałem i krytykowałem system, więc zupełnie świadomie i umyślnie roztrząsałem osobno pojedyncze elementa doktryny, lubo na każdym kroku usiłowałem wykazać, w jakim stosunku zostają te szczegóły zarówno do tego, co odrzucam, jak i do tego, czego bronię. Utrzymuję też, iż przy baczniejszem czytaniu łatwo dostrzedz w pracy mojej pewną jedność myśli przewodniej, ład pewien. Myśl tę sformułowałem, gdy, czyniąc zadość wymaganej formalności, przed rokiem przeszło wraz z rozprawą złożyłem w Akademii następujący autoreferat:

W rozprawie niniejszej zamierza autor zbadać, jak dalece pojęcie celowości, w tym kształcie, w jakim ono u teleologów występuje, zostało metodycznie wytworzonem i jak dalece daje się ono metodycznie zastosować do naukowego objaśnienia zjawisk i ich stosunków w przyrodzie. Ponieważ doktryna teleologiczna opiera się na pojęciu przyczyny celowej, przeciwstawianem pojęciu przyczyny sprawczej, więc bada się istota i stosunek wzajemny tych obu pojęć; że zaś przyczyna celowa, jak się okazuje, jest tylko wyobrażeniem celowem skutku, więc nadto bada autor naturę wyobrażeń w ogólności, i wyobrażeń celowych wszczególe, by wykazać że wyobrażenia celowe są wynikami doświadczeń i, jako zupełnie deterministycznie uwarunkowane, nie mogą uchodzić za odrębne czynniki, w jakiś odmienny sposób modyfikujące deterministyczny ład zjawisk w przyrodzie.

Pomimo tego doktryna celowości nietylko błędnie pojmuje naturę wyobrażeń celowych, lecz nadto przenosi je do świata objektywnego pod postacią przyczyn celowych i na tej hypostazie opiera dalsze spekulacye swoje. Główne momenty, na których opierały się wszelkie dotychczasowe spekulacye nad celowością, są następujące: 1-o. Co się tyczy metody—racyonalizm, posługujący się wnioskami analogicznymi i postulatami utylitarystycznymi, etycznymi i estetycznymi, tudzież redukowanie *ad absur-*

dum wywodów tych przeciwników teleologii, którzy przy objaśnianiu przyrody powołują się na ślepo działający mechanizm albo na przypadek. 2-o. Co się tyczy treści, doktryna celowości ześrodkowywa ją w pojęciu „rozumu najwyższego,“ Boga, który się kieruje motywami racyonalistycznymi i etycznymi, a więc w pojęciu Boga antropomorficznem, które jest spotęgowaną analogią do abstrakcyi dodatnich cech rozumu ludzkiego.

Wobec tego autor usiłuje w rozprawie swojej wytknąć właściwe znaczenie i prawowite granice racyonalizmu i analogii w zakresie poznawania naukowego; nadto zaś próbuje poddać do kładniejszej analizie pojęcia przypadku i „ro[illegible] mu najwyższego,“ oraz rzeczoną analogię [illegible] tropomorficzną. Po wykazaniu bezpodstawności tych pojęć i metod a także ich zastosowań u teleologów, autor w drodze analizy logicznej i psychologicznej bada doniosłość teoretyczno-poznawczą pojęcia celowości i przychodzi do wniosku, że celowość, jako zasada konstytutywna nie może być zastosowaną w naukowym objaśnianiu przyrody, zaś jako pojęcie psychologiczne może ona tam być stosowaną, gdzie się daje stwierdzić istnienie wyobrażeń celowych, jako faktów psychicznych, a więc przy objaśnianiu skutków działalności praktycznej jestestw zdolnych myśleć i pożądać. We wszystkich innych razach teleologiczne objaśnienie jest psychicznem odwróceniem rzeczywistego porządku rzeczy.

Dwie dziedziny— świat jestestw organicznych i losy dziejowe ludzkości głównie dostarczają materyału do spekulacyi teleologicznych. Z powyższego jednak wypada, iż w obu tych dziedzinach pojęcie celowości o tyle tylko da się zastosować do wyjaśniania zjawisk i ich stosunków, o ile odnośne badania dowodzą, że wyobrażenia celowe istot, zdolnych wyobrażać i pożądać, mogą być uznane za przyczyny modyfikujące przebieg zjawisk i uwarunkowujące określone działania; chociaż i wtedy jeszcze wyobrażenia celowe będą miały znaczenie wtórnych zjawisk psychicznych, nie zaś znaczenie ostatniej instancyi w procesie objaśniania, nie znaczenie pierwszej przyczyny, jaką ma być przyczyna celowa. Biologiczny ewolucyonizm nowożytny, który z zasady jest przeciwnikiem teleologii, posługując się z jednej strony terminologią teleologiczną, skądinąd zaś walcząc z teleologami, przyłożył się do pewnych nieporozumień, dla siebie samego niekorzystnych. Tak np., wprowadził on pojęcie dysteleologii, przez co sam poniekąd zajmuje stanowisko teleologiczne w objaśnianiu przyrody i pośrednio uprawnia niejako do konsekwencyi, że po za obrębem pewnej ilości nie bez mozołu wykrytych stosunków dysteleologicznych, reszta stosunków może być teleologicznie objaśnianą. Naukowe objaśnienienie przyrody nie może być ani teleologicznem, ani dysteleologicznem: ono powinno być ateleologicznem.

Kto przyjmuje naukową bezpodstawność zasad doktryny teleologicznej, ten musi konsekwentnie odrzucić i wszystkie z tej doktryny wypływające wywody; gdy jednak zwolennicy celowości, opierając się na postulatach pożytku, dobra i piękna, kreślą swoje fantastyczne obrazy przyrody, więc sądził autor, iż nie będzie rzeczą zbyteczną zaznaczyć i w tym także kierunku niektóre główniejsze sprzeczności rzeczonego systemu.

Taką jest kanwa czy „szkielet,“ na którym sprawozdawca mógłby rozsnuć obraz mniej lub więcej wyczerpujący treść książki, stosownie do swoich zamiarów, wypełniając osnowę szczegółami. Zdaje się, iż powyższa kanwa myśli zasadniczej jasno występuje w pracy mojej. Co gorsza jednak, że recenzent w kilku miejscach swego referatu zupełnie zatraca wątek myśli i już najoczywiściej nie z mojej winy. Tak np., zapowiada: „Natomiast wskażemy na próby wyszukania probierza przedmiotowego dla wyznaczenia zewnętrznej pozapodmiotowej celowości.“ Bezpośrednio jednak po tej zapowiedzi napotykamy, zamiast tych prób, kilka zdań bez związku, chociaż w książce mówi się o tem z powodu Janeta na str. 42—45, następnie zaś z powodu ks. Morawskiego i ogólnie na str. 116—122. Dalej, recenzent postanawia „rozejrzeć się nico“ w mojej analizie pojęcia „rozumu najwyższego,“ chociaż, przytoczywszy jeden szczegół, urywa, wcale nie zaznaczając sprawy o wiele istotniejszej, że ja metodycznie tę rzecz roztrząsam, że wykazuję, iż „koncepcya rozumu najwyższego“ nie daje się utrzymać ani ze względu na wykazane jej źródła (anologia do poznanych umysłów ludzkich), ani ze względu na metodę (superlatywizm dodatnich cech abstrakcyi rozumu ludzkiego). Takich nie ode mnie zależnych *hiatus* w jego streszczeniu jest więcej. Sądźmy się wzajemnie, ale niech każdy odpowiada za winy własne.

Z prawdziwym szacunkiem.
Ad. Mahrburg.

Lipsk, 26 grudnia 1888.

PRASA RUSKA.

Graždanin pisze w korespondencyi z Warszawy:

„Godną zastanowienia i domagającą się wyjaśnień notatkę podaje *Prawda* petersburska. Wypowiadając słuszną myśl: „że dla celów państwa pożytecznie byłoby zwrócić uwagę na prawidłowsze określenie procentu wychowańców obcej narodowości w ruskich zakładach naukowych“ — *Prawda* przytacza fakt, że z liczby 50-ciu nagrodzonych przez Akademię sztuk pięknych w Petersburgu prawie połowa przypada na nieruskich, w tej zaś połowie znaczną część stanowią polacy. Nie można zaprzeczyć prawdziwości twierdzenia dziennika, aczkolwiek obliczenie jego, oparte na brzmieniu nazwisk ściśle nie jest; ruscy noszą nieraz nazwiska do polskich zbliżone; mamy zaś tutaj polaków: Petrowów, Jerszowów, Surynów itd. Zastanówmy się jednak, w jaki sposób się stało, że nasze koleje i urządzenia portowe, słowem wszystko, co inżenieryi i techniki dotyczy, jest zagarnięte przez osoby obcego pochodzenia, a ostatnimi czasy głównie przez polaków? Niemców zawsze była moc wielka. Jak zaś wytłomaczyć wręcz przeciwne zjawisko, że w Królestwie Polskiem koleje, fabryki, górnictwo i roboty inżenierskie (np. kanalizacya Warszawy) znajdują się w ręku cudzoziemców lub przepełnione są przez cudzoziemców, którzy wyparli poddanych ruskich? Pytania te posiadają wielką dla państwa wagę i dlatego zajmiemy się niemi. Skoro zajrzymy do wykazu zakładów ministeryum wychowania publicznego w r. 1887—1888, to przy pomocy innych danych statystycznych zobaczymy, że okrąg naukowy warszawski posiada 20 gimnazyów klasycznych na 7,084,000 mieszkańców, czyli 1 gimnazyum na 354,000 ludności. Tymczasem okrąg moskiewski ma 22 gimnazya na 16,378,000 mieszkańców, czyli jedno gimnazyum na 744,500 ludności, okrąg zaś charkowski liczy 15 gimnazyów na 12.230,000 mieszkańców, czyli jedno gimnazyum na 815,000 ludności. Zatem stosunkowo do zaludnienia, Królestwo Polskie jest 2·1 razy bogatsze pod względem liczby gimnazyów od okręgu moskiewskiego i 2.3 razy od charkowskiego.

Nieuprzedzony czytelnik wywnioskuje z tego odrazu, że państwo szczególniej się przykłada, ażeby doprowadzić polaków do stanowiska urzędników i działaczy szerszego zakresu. Jeżeli zwrócimy uwagę na inny rodzaj zakładów naukowych, na szkody specyalne, zobaczymy wprost odmienne położenie rzeczy. Okrąg warszawski ma tylko 3 szkoły realne, charkowski 10, moskiewski 15, zatem od warszawskiego okrąg moskiewski posiada 2·2 razy więcej, charkowski zaś prawie 2 razy. Z tego wynika, że uważamy za zbyteczne przyspasabianie w Królestwie Polskiem techników średnich, niezbędnych w praktyce dla fabryk, kolei, kopalń itd. Jakie skutki pociąga taki rozkład szkół w różnych okręgach? Bardzo proste: na urzędy i wyższe stanowiska w życiu umysłowem i społecznem będą wciskali się polacy, ruscy zaś będą technikami średnimi i wogóle robotnikami. Taki stan rzeczy, o wiele więcej, niż mniemamy, wpłynął na całą Rosyę, a osobliwie na kraj tutejszy. Dzięki jemu fabryki Królestwa Polskiego są przepełnione przez cudzoziemców, ponieważ miejscowe zakłady naukowe nie przysposabiają dostatecznej liczby techników, starszych majstrów, buchalterów itd. W samej rzeczy ogromna część oficyalistów kolejowych w wydziale technicznym, a nawet gospodarczym, od naczelników ruchu i dystansów zaczynając, a kończąc na maszynistach, majstrach drogowych, smarownikach, rachmistrzach, a nawet konduktorach, składa się z osób, które niedawno przyjęły poddaństwo ruskie. Zróbcie rewizyę ścisłą, a znajdziecie niedawnych reprezentantów landwery pruskiej na różnych urzędach kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej. W fabrykach domach handlowych, w kanalizacyi i na kolei konnej mamy wszędzie zwartą masę cudzoziemców.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwa pożyczkowo-wkładowe. *Now. Wr.* donosi, iż komisya przy wydziale kredytowym rozesłała okólnik do gubernatorów z zapytaniem o liczbie istniejących towarzystw pożyczkowo-wkładowych. Skarb państwa zamierza przyznać kredyt tym instytucyom dla zachęty do ich zakładania. Co się tyczy istniejących kas i spółek, postanowiono uregulować ich działalność na zasadzie dokładnych danych z obrotów rocznych. W tym celu zażądano, aby gubernatorowie skłonili zarządy kas i spółek pożyczkowo-wkładowych do przesyłania szczegółowych sprawozdań rocznych o ich operacyach.

Konwencya literacka. Dzienniki petersburskie donoszą, iż pomiędzy Niemcami a Rosyą toczą się obecnie układy o zawarcie konwencyi literackiej.

Drogi żelazne. Dla budowy kolei syberyjskich utworzył się, jak donoszą dzienniki petersburskie, syndykat kapitalistów amerykańskich z kapitałem 50 milionów dolarów.

Cukrownia. W pow. wieluńskim obywatele ziemscy wspólnemi siłami zakładają fabrykę cukru. Zebrano podpisów na rs. 14 000, z chwilą zaś deklarowania podpisano na 400,000 rs. rozpocznie się budowa fabryki.

P. Floryan Grubiński, wynalazca nowego systemu broni magazynowej, wezwany przez komitet techniczny przy ministeryum wojny, dopełnił całego szeregu prób wobec starszyzny wojskowej w Petersburgu, a następnie w Oranienbaumie.

Gorzelnictwo. Ministeryum skarbu, w celu poparcia dalszego rozwoju oczyszczania spirytusu na wywóz za granicę, zamierza, oprócz uwolnienia od akcyzy produktów otrzymywanych przy oczyszczaniu, zastosować kilka jeszcze innych ulg dla gorzelników, którzy zajmować się będą oczyszczaniem spirytusu.

Na osuszenie błot w państwie ruskiem asygnowano 302,513 rs. i na karczowanie lasów 575,805 rs.

Len. Plantatorowie na zjeździe w lutym r. b. będą się naradzać nad środkami co do usunięcia pośrednictwa w handlu lnem agentów zagranicznych.

Zniżka ceny książek ogarnia coraz szerzej nasze wydawnictwa. Czytamy znowu, że *Ziamia w krajobrazach* O. Reclus'a (dwa tomy), kosztuje tylko 75 kop. Taniej niepodobna.

Ostrzeżenie. *Kuryer warszawski* otrzymał z kilku stron skargi, iż w nowopowstałych, po likwidacyi częściowej stalowni warszawskiej, zakładach krzyworoskich, pracowników spotykają liczne niepowodzenia. Robotnicy użalają się na brak pomieszczeń, opału i... chleba zdrowego. Nie brak za to lekceważenia skutkiem wielkiego współzawodnictwa.

Prasa. Redakcya *Korespondenta płockiego* ogłasza, że wstrzymuje wydawnictwo swoje na kilka tygodni, w tym zaś czasie ma wyjednać sobie rozszerzenie programu i powiększenie formatu.

W kasie zjednoczenia urzędników kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej z d. 1 stycznia r. b. wprowadzono ważną zmianę. Według zreformowanych przepisów, dyetaryusze zyskali prawo przystąpienia do niej w charakterze uczestników, czas jednak już przebyty w służbie do praw emerytalnych zaliczonym nie będzie. Jednocześnie bieżącą składkę stowarzyszonych podniesiono do 8% od pobieranej płacy etatowej. Majątek kasy zjednoczenia z końcem roku wynosił rs. 2,177,000.

Szkoły. Z przyszłym rokiem szkolnym we wszystkich szkołach technicznych kolejowych otwarte będą klasy przygotowawcze, odpowiadające w zakroju nauk drugiej klasie dwuklasowych szkół miejskich.

— Z początkiem r. b. powstanie sześć nowych szkół rolniczych w państwie.

— Ministeryum wychowania publicznego wyjaśniło, że rozporządzenie z dnia 10 (22) czerwca 1887 r., ograniczające liczbę starozakonnych w szkołach rządowych, stosuje się bez zmiany do szkół realnych, niedawno przekształconych.

— Ministeryum oświaty przystało w zasadzie na utworzenie w Odesie instytutu handlowego, w miejsce istniejącej szkoły handlowej. Będzie to pierwszy wyższy zakład tego rodzaju.

— W Żytomierzu pp. Kostrzycka, Lewicka i Strusiowa, wykształcone w specyalnych zakładach naukowych w Warszawie, założyły szkołę rzemieślniczą dla kobiet z kursem trzymiesięcznym. Można się tam uczyć pszczelnictwa, koszykarstwa, koronkarstwa, krawiectwa i rysunków. Opłata miesięczna 4 rs.

Ulgi. Na skutek starań właścicieli kopalni donieckich węgla, przyznane będą górnikom w tego rodzaju kopalniach pewne ulgi co do spełniania powinności wojskowej.

Sztuka. Otwarcie wystawy malarskiej konkursowej Towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie odbędzie się 15 b. m. Do popisu tegorocznego stają niemal wszystkie nasze pierwszorzędne siły malarskie.

Na trzeci zjazd lekarzy, mający się odbyć w Petersburgu w m. b., na pamiątkę dr. Pirogowa, delegowani będą w celu naukowym ze strony uniwersytetu warszawskiego: prof. Wolfring. Jastrebow, Popow, Tauber, Mentin, Stolnikow i Kowalewski, prosektor Troicki i ordynator kliniki ginekologicznej dr. Neugebauer (syn).

Konkurs im. Lindego. Akademia umiejętności w Krakowie ogłosiła z funduszów Ludwiki z Lindów Górskiej konkurs na prace do nagrody im. Lindego. Termin upływa z d. 31 b. m. Przedmiotem konkursu mają być prace z języka polskiego, a mianowicie: leksykograficzne, związek języka polskiego z innymi słowiańskimi. Praca uznana za najlepszą otrzyma nagrodę 675 rs., dwie inne po 337 rs. Przyznanie nagród nastąpi na posiedzeniu publicznem Akademii umiejętności w pierwszych dniach maja r. b.

Z Budapesztu donoszą, iż minister oświecenia zalecił, aby wykład języka niemieckiego w gimnazyach i szkołach realnych wzmocniono.

W Petersburgu wkrótce odbędzie się wielki zjazd kupców zbożowych i gospodarzów wiejskich w celu wyświetlenia położenia i widoków ruskiego handlu zbożowego.

W Rydze radca miejski Tiemer został oddany w ręce sądu, ponieważ wbrew prawu wydawał karty handlowe w języku niemieckim, zamiast w ruskim.

Podwyższenie etatu. *Now. Wr.* donosi, iż od dnia 13 stycznia r. b. etaty urzędników departamentu pocztowo-telegraficznego mają być podwyższone. Urzędnicy według nowego etatu dzielić się będą na cztery grupy: z roczną pensyą 1,200, 900, 750 i 600 rs.

— Postanowieniem ministeryum oświecenia etaty szkolne służących w warszawskim okręgu naukowym, którzy wysłużyli oznaczony okres czasu w Królestwie Polskiem, znacznie podwyższono.

Poddaństwo. Dzienniki odeskie donoszą, iż przedstawiciele wielu tamtejszych firm kupieckich przyjęli poddaństwo ruskie. Ruch w tym kierunku wzmaga się coraz bardziej.

Drogi żelazne. Wniesiono projekt przeprowadzenia odnogi kolei od Woznieseńska do stacyi dróg Południowo-Zachodnich, Nowo-Ukrainka, lub wybudowania samodzielnej linii Wozniesieńsk-Humań.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Ka-wicz. Wiersz Pański nie posiada tej siły, której wymaga jego przedmiot. A nadto ciągle chroma w rytmie.

Dr. P. w Zl. Nie dla nas, chyba dla pisma specyalnego. Rękopis zachowujemy.

E. z Czers. Korespondencyj bezimiennych nie drukujemy.

K. Niewiele. Skargi spowszedniałe, często wyrażone ułomnie.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Декабря 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.